

czerwony karzet

1 (18) 2015



ISSN 1425-9952



9 771425 595204

PROZA

Jacek Inglot	
<i>Wojna dronów (fragment)</i>	6
Andrzej Prószyński	
<i>Apocalypse Now! (tryptyk)</i>	10
Robert Rusik	
<i>Gambit Przeznaczenia</i>	12
Jean-François	
<i>Nowa Era</i>	24
Andrzej Prószyński	
<i>Czkawka</i>	29
Luiza Dobrzyńska	
<i>Allegro vivace</i>	30

PUBLICYSTYKA

Jan Plata-Przechlewski	
<i>Kolejne poziomy końca naszego świata</i>	3
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Metafizyczny kolaps cywilizacji. Wizje apokalipsy w wybranych utworach współczesnej polskiej fantastyki</i>	25



Archiwum CK
na stronie GKF

Czerwony Karzeł
Magazyn Literacki
Gdańskiego Klubu
Fantastyki
Nr 1 (18) 2015

100 egz.

ISSN 1425-5952

Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk
ul. Opolska 2

Redakcja:

Karolina Kaczowska (RN)
Agata Plank-Wcisłowska
Jan Plata-Przechlewski
Grzegorz Szczepaniak

E-mail:

delvanakk@gmail.com

Okładka:

Jarosław Jaśnikowski,
Samotnia

Druk:

Print Group Sp. z o.o.
<http://printgroup.pl>

OD REDAKTORA

W sierpniu tego roku minie siedemdziesiąta rocznica zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Był to jeden z najbardziej niechlubnych momentów w dziejach drugiej wojny światowej. Od tamtej pory strach przed nuklearną zagładą przechodzi z pokolenia na pokolenie (choć obecnie dysponujemy wieloma środkami, które mogą zapobiec takiej katastrofie, a także skutecznie usuwać jej skutki) oraz od dawna inspiruje twórców szeroko pojętej fantastyki.

Wszelkiego rodzaju apokaliptyczne wizje niejednokrotnie stawały się już przewodnim motywem fantastycznych utworów, filmów czy gier, temat ten wydaje się zatem wciąż aktualny i jednakowo bliski odbiorcom z różnych pokoleń. Wszak wszyscy od dziecka uczymy się spodziewać końca świata, a dla każdego z nas ma on inne oblicze. Oddając w Wasze ręce najnowszy numer „Czerwonego Karła”, zapraszamy do zapoznania się z apokaliptycznymi wizjami naszych koleżanek i kolegów po piórze.



JAN PLATA-PRZECHLEWSKI

KOLEJNE POZIOMY KOŃCA NASZEGO ŚWIATA

Sosunkowo niedawno, we wstępniku do któregoś z ubiegłorocznych numerów „Informatora” GKF, napisałem o ludzkim postrzeganiu świata – i o tym, że nasze bezpośrednie (lecz ograniczone) doświadczenie może utrudniać odkrywanie prawdziwej natury rzeczy; np. dla kogoś nieznającego konstrukcji Układu Słonecznego spadające z nieba kamienie będą czymś niewytłumaczalnym, a dla kogoś nieznającego struktury fali świetlnej równym absurdem będzie stwierdzenie, iż na kolor biały składają się wszystkie pozostałe barwy. A co dopiero możemy powiedzieć o osobliwości sprzed Wielkiego Wybuchu, osobliwości czarnej dziury, bezkresie kosmosu, równaniu $E=mc^2$, czarnej materii i energii, paradoksach mechaniki kwantowej – że nie wspomnę o śmiałych teoriach związanych z hipotetycznymi dodatkowymi wymiarami przestrzeni czy wszechświatami równoległymi.

Równie nieogarnialne jest dla nas pojęcie nieskończoności. Dlatego wszystkie mitologie i religie zawsze wyraźnie akcentowały aspekt początku i końca Wszechrzeczy. Dla niepojmowalnej wieczności zarezerwowane były co najwyżej boskie byty oraz zaświaty. Paradoksalnie do owego mistycznego podejścia w pewnym sensie zbliża się podejście współczesnej nauki: nawet jeżeli materia/energia jest wieczna – jej konkretne formy (np. wszechświaty) mogą odradzać się chociażby w różnych kolejnych wielkich wybuchach...

Dlatego też rozmaitymi wizjami końca świata karmią nas od wieków prorocy i naukowcy – zaś liczni pisarze i filmowcy SF oraz twórcy gier fabularnych dorzucili do tego (nader atrakcyjny fabularnie i treściowo!)

obraz społeczeństwa postapokaliptycznego; poszczególne wyobrażenia mocno się zresztą różnią – zarówno pomysłami, jak wymową.

A poniżej – przedstawiam próbę usystematyzowania kolejnych poziomów apokalipsy.

Apokalipsa religijna. Mistyczny koniec świata. Prawdopodobnie pojawia się we wszystkich religiach. Skupię się na najbardziej dosłownym, biblijnym, odczytaniu tego słowa. A zatem: objawienie Świętego Jana, Czterej Jeźdźcy, powrót cielesnego Chrystusa, Armagedon, przegrana Bestii, ostateczny Sąd Boży, metafizyczny kres znanej nam formy fizycznego wszechświata*.

* W tym przypisie, nieco na marginesie, pozwolę sobie na małą dygresję. Biblijna obietnica „życia po życiu” rozbija się bowiem na dwa – wyraźnie się moim zdaniem różniące – warianty: albo dusza osoby zmarłej zostaje osądzona od razu i trafia na wieki do Nieba (często via Czyśćciec) bądź do Piekła – czyli niematerialnych obszarów poza jakimikolwiek wymiarami naszego Wszechświata; albo martwe ciało osoby zmarłej czeka na Sąd Ostateczny, kiedy – podczas Końca Świata – powstaje materialnie z grobu wraz ze wszystkimi innymi, bo dopiero wtedy następuje powszechny podział na zbawionych (żyjących odtąd materialnie na odrodzonej Ziemi) i potępionych (strąconych w Czeluść). Może wychodzę teraz na teologicznego laika, ale te dwie koncepcje wydają się wzajemnie wykluczać; natomiast łączny algorytm (zbawiona dusza idzie do Nieba, po iluś wiekach wraca do swych materialnych szczątków, które zmartwychwstają i stają przed Sądem Ostatecznym, by potem radować się bez końca już nie w Niebie, ale na Ziemi) wydaje mi się nazbyt wielostopniowy. Koncepcyjnie bliższa mi jest zresztą ta pierwsza opcja (notabene niekłócąca się z entropią materialnego kosmosu); teologom chyba też, gdyż inaczej bezcelowe byłoby modlitwy do świętych (ale z kolei jak ma się do niej – wyznawanie wiary w „ciała zmartwychwstanie” i w dopiero późniejszy „żywot wieczny”?)



Apokalipsa kosmiczna – w skali „makro”. Niemetafizyczny koniec („wypalenie się” i rozpad) całego naszego kosmosu – że zacytuję Stanisława Lema: „rozpad galaktyk, gaśnięcie gwiazd w czarnej nieskończoności”. Może zresztą po końcu naszego (jedyne?) Wszechświata nastąpić na zawsze zimna pustka; może się on też odrodzić (cyklicznie?) w kolejnym Wielkim Wybuchu; oba te warianty może pogodzić koncepcja Wieloświatów – nasz Wszechświat kiedyś nieodwołalnie zakończy żywot, ale (np. dzięki czarnym dziurom) da początek wielu alternatywnym.

Apokalipsa kosmiczna – w skali „mikro”. Nieunikniony i już dokładnie obliczony koniec naszego Układu Słonecznego: wyczerpanie się wodoru we wnętrzu naszej gwiazdy, jej rozpuchnięcie się po orbitę Ziemi, wreszcie przemiana Słońca w żelazną bryłę. A już dużo wcześniej – zniszczenie warunków do życia na trzeciej z planet (wzrost temperatury, wyparowanie wody, rozpad aminokwasów). Dlatego też trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek materialne „życie wieczne” trwające wciąż i wciąż na naszej planecie: czy byłby to ktoś wskrzeszony z martwych, czy jakiś nieumarły wampir, czy cokolwiek innego żywego (będące np. wynikiem eksperymentów genetycznych).

Kosmiczny kataklizm. Coś niszczącego życie (przynajmniej to o wyżej rozwiniętych formach) na Ziemi już na długo przed tym, nim nasza dzienna gwiazda zacznie syntezę helu. To może być zderzenie z dużą planetoidą (zdolną rozwalić planetę na kawałki), to może być kosmiczny rozbłysk gamma lub omiecenie dżetem z pulsara czy kwazara (co byłoby śmiertelne dla struktury DNA) albo (niosące podobne skutki) bezpośrednie wystawienie naszej planety na pełne promieniowanie pobliskiego Słońca – np. w wyniku utraty ochronnego pola magnetycznego.

Już Arthur Conan Doyle w *Trującym paśmie* porównał (nawet nie sądząc, jak bardzo trafnie!) Układ Słoneczny do koralików płynących przez nieznaną ocean...

Koniec gatunku ludzkiego. Zagłada może też przyjść z Kosmosu (asteroidea podobna do tej, która 65 milionów lat temu położyła kres panowaniu dinozaurów), ale może też zacić się w trzewiach naszego globu (przed 200 milionami lat największe wymieranie zafundowały ziemskim organizmom wybuchy superwulkanów – a ten pod parkiem Yellowstone dymi cały czas...). W grę wchodzi też nieustanne zmiany warunków życia zachodzące na planecie (również w wyniku liczebnej ekspansji czy uodpornienia bakterii), jak też wewnętrzna degeneracja – np. genetyczna (w tym: swoisty paradoks wynikający z postępów medycyny!).

Kres ludzkiego panowania. Tu też możliwe są różne warianty – całkiem realistyczne lub całkowicie fantastyczne... Wyczerpanie się (lub znaczne ograniczenie) zasobów energetycznych i żywnościowych. Regres cywilizacyjny cofający nas wszystkich do poziomu totalnie prymitywnego barbarzyństwa. Niespodziewany najazd Obcych – z kosmosu, z innego wymiaru, z innej ery czasu (faktyczną kruchość wobec miazdzącej przewagi technologicznej przeanalizował już dawno temu w swym arcydziele Herbert George Wells). Dochodzą do tego również inne wątki znane z fantastyki – jak chociażby: bunt maszyn, ekspansja zombies, nagła supremacja innego ziemskiego gatunku (np. małp, delfinów, ośmiornic).

Upadek naszej cywilizacji. Ale tylko tej, do której przywykliśmy. Czy będzie to wyczerpanie paliw (świat bez samochodów i samolotów), czy globalne ocieplenie albo ochłodzenie (jakiś *Wodny świat* lub jakieś *Pojutrze*), czy spalanie urządzeń elektrycznych



i elektronicznych przez nagły skok aktywności Stońca (ponad sto lat temu szlag trafił ino telegrafy!), czy III wojna światowa (broń masowego rażenia) lub zderzenie negujących swe wartości kultur (np. islamiści). Może to być też różnoraka degeneracja wywołana przez totalne uzależnienie od sztucznego otoczenia – dobrowolne (jak w *WALL-E'm*) lub przymusowe (jak w *Matrixie*). Przypominają się też złośliwostki Kurta Vonneguta (*Pianola*) i Janusza A. Zajdla (*Limes inferior*) na temat coraz głępszego społeczeństwa dysponującego coraz wymyślniejszą technologią. Nie lekceważyłbym też paradoksalnej

pułki czającej się w... totalnej wolności (brak norm!). Niedawny kryzys ekonomiczny zburzył także dotychczasowy optymizm, iż z pokolenia na pokolenie będziemy stawać się coraz bogatsi (bo jeżeli „lepiej już było“?).

A co dalej? Dalej już nie wiem – jak napisał Karel Čapek w *Inwazji jaszczurów...* Pocieszmy się może tym, że dla antycznego Greka czy Rzymianina (a nawet dla obywatela cesarstwa Austro-Węgierskiego) koniec świata nastąpił już dawno temu! My zaś żyjemy sobie – w ich postapokalipsie. Tylko ten cholerny Yellowstone dymi ponoć coraz bardziej...





JACEK INGLOT

WOJNA DRONÓW (FRAGMENT)

[...]

Miał tego wszystkiego dosyć. Egzoszkielec Tytana 2 był jeszcze gorzej dopasowany niż Tytana 1, w krok wszyto jakąś listwę, która teraz obluźowała się i z każdym ruchem nabierał przekonania, że lada moment obetnie mu jaja. Nafaszerowany elektroniką hełm ważył prawie cztery kilogramy, tak jakby miał go nosić jakiś golem, a nie normalny człowiek. Na dodatek był ewidentnie za duży, co i rusz opadał i okularowa przyłbica boleśnie gniołła go w nasadę nosa. Kevlarowe płyty pancerza chrzęściły nieprzyjemnie i nie wydawały się tak elastyczne, jak zapewniał producent. Ale przynajmniej zatrzymywały większość pocisków, co sprawdził z kolegami jeszcze w koszarach. Na dodatek tamci strzelali, na szczęście niecelnie, bo za wysoko. Kule gwizdały mu nad głową lub waliły w fasadę kamienicy, pod murem której się przyczaił. Rykoszety i odłamki tynku bębniły mu po hełmie i pancerzu, w nosie drapał go kurz i bał się, że zaraz się rozkicha.

Jego drużyna prowadziła natarcie wzdłuż ulicy Orzeszkowej, łączącej się na tym odcinku z wielkim placem, jak go informowała wyświetlona na displayu przyłbicy mapka, imienia wodza Rewolucji Październikowej, co zaznaczał stosowny pomnik w stylu starsowieckim. Reszta drużyny wsiąkała w duży park po lewej, usiłując obejść tarasującą ulicę barykadę, ale przeciwnik to przewidział i rozmieścił na skrzyżowaniach ogrodowych alejek gniazda karabinów maszynowych. Żołnierze zalegli pod ogniem i trwała tam teraz niezła pukanina.

Kapral Aleksander M'Beki spojrzął przez dalmierz karabinu na barykadę. Striełcy Tarasienki nie popisali się, po prostu wytaszczyli z okolicznych domów co popadło, tapczany, komody, szafy, krzesła i zwalili na bruk, parę metrów za skrzyżowaniem, tuż za mostkiem, byle jak, bez ładu i składu. Z drugiej strony nie mieli zbyt dużo czasu na finezyjne konstrukcje, wojna zaczęła się w końcu dopiero przed niespełną godziną, kiedy kompania M'Bekiego przekroczyła granicę. Z meblowego chaosu sterczało kilka łuf, w tym jedna kaemu 12,7, ale chciał dokładnie wiedzieć, ilu ich tam jest i czym dysponują. Przełączył display hełmu na obraz z jednego z unoszących się nad Grodnem pteroków – zrobił zbliżenie na barykadę, ale nic nie zobaczył, bo striełcy, doskonale świadomi, że są obserwowani przez drony, przykryli się od góry wielkimi płachtami folii metalowej, kompletnie nieprzenikliwymi dla kamer i skanerów.

Sapnął z irytacją i wezwał swojego dwójkowego, starszego szeregowca Władysława Nguyêna Giąpa, zwanego „Gapą”, może dlatego, że urodził się na warszawskim Bródnie, którego modułowy karabin był wyposażony w granatnik. Żołnierz przyczaił się na placu, bezpiecznie ukryty za cokołem wysokiego pomnika przedstawiającego wodza światowego proletariatu w surducie z wyciągniętą prawą ręką – na wschód, jakby wskazywał im kierunek natarcia.

— Gapa, rusz dupę z za tego cokołu — syknął M'Beki. — Przywał w te meble z granatnika i będzie po sprawie!



Fragment powieści

Zanim Wietnamiec zdążył mu odpowiedzieć, włączył się ich nadwizor, sierżant Katelbach, i zagulgotał:

— Ani mi się waźcie! Sto metrów za barykadą jest dom Orzeszkowej. Mamy go w wykazie obiektów szczególnie chronionych. Granat to za dużo, możecie uszkodzić elewację.

Aleksander z trudem powstrzymał się, aby nie zgrzytnąć zębami.

— To my tu przyjechaliśmy na wojnę, czy na zwiedzanie?

„Kat” jednak miał jak zwykle gdzieś, co on sądzi o takich rozkazach. Cholerny zupak, bardzo chciał zostać trepem. To znaczy oficerem.

— Nie filozofujcie, kapralu — rzucił. — Mamy zdobyć to miasto, a nie obrócić je w perzynę. A ty, Gapa, nie strzelaj, dopóki się nie przemieścisz. Ci na barykadzie pewnie mają pepanca, jakby przywalili, to mogliby rozpieprzyć ten pomnik. A generał Zarakowski ma na niego jakieś widoki.

A ty, sztabowa gnido, jesteś od tego, aby spełniać jego zachcianki — pomyślał ze złością M’Beki. Sierżant był znany z tego, że włożył dowództwo w dupę bez mydła.

— Ten Lenin jest jakiś dziwny — powiedział Gapa, przesyłając im zarazem obraz z kamery hełmu. — Wąsaty, a powinien mieć brodę.

— Bo to nie Lenin, a Łukaszenko — zaśmiał się Katelbach. — Nie słyszeliście o tym? Na całej Białorusi kazał powymieniać Leninom głowy na swoją. Zupełnie jak jakiś rzymski cesarz. Po sztapie chodzą plotki, że generał chce go sobie postawić na działce, żeby miał do kogo przepijając przy grillu.

W słuchawkach chrupnęło i usłyszeli głos kapitana Bińczyka. Jak zwykle mało przyjemny.

— To wojsko czy klub dyskusyjny? — rzucił cierpko. — Spóźniacie natarcie, inne drużyny opanowały swoje rejony. Ruszcie do przodu. Kapralu M’Beki, posyłam wsparcie. Macie dwie i pół minuty opóźnienia.

Na obrazie z tylnej kamery zobaczył „mrówkojada”, czyli Bojowy Wóz Zwiadowczo-Artyleryjski, wyposażony w moździerz 102 mm oraz, co w tej sytuacji było bardziej przydatne, działko 20 mm. Walcowaty automat, rzeczywiście z wysuniętą i opuszczoną teraz rurą moździerza przypominający mrówkojada, z chrzestem gąsienic potoczył się do przodu, minął stanowisko M’Bekiego i zatrzymał się. Otworzył boczną klapę i wypuścił rój mikrodronów, trzmieli, niewiele większych od tych owadów. Wzniosły się z bzykiem nad ulicę i popłynęły chmarą w kierunku barykady. Ale strielcy byli na to przygotowani — ledwo drony zaczęły się rozpraszać i przekazywać pierwsze obrazy, od strony barykady padło kilka strażaków z dubeltówki, i większość z nich opadła na ziemię. Świetnie w walce z takim elektronicznym drobiazgiem sprawdzały się śrutowe naboje na drobne ptactwo. Pozostałym trzmielom rozproszyły się, aby uniknąć zestrzelenia. A oni ciągle nie wiedzieli, ilu ludzi Tarasienki siedzi na tej barykadzie i czym dysponują, poza dubeltówkami oczywiście.

Operator „mrówkojada” uznał najwidoczniej, że dosyć tego dobrego, bo wpakował w barykadę długą serię z działka, wzbijając chmurę dżazg i kurzu z przestrzeliwanych kanap. Wóz ruszył do przodu, M’Beki poderwał się i pobiegł za nim, pochylony, wykorzystując pojazd jako osłonę. O pancerz zabębniły kule, widocznie jacyś strielcy przeżyli



kanonadę z działka. M'Beki miał na podglądzie obraz z krążącego nad ulicą pterona, ale niewiele mu z tego przyszło, bo tamci odpalili świece dymne i widział tylko jakieś postacie miotające się w burych kłębach. Automat wciąż strzelał i parł do przodu, operator poinformował go, że zamierza staranować resztki barykady. Gapa odkleił się wreszcie od cokołu i rozpoczął ostrożnie ze skrzydła, niepotrzebnie, bo strielcy najwyraźniej mieli już dosyć i dawali nogę.

To musiała być co najmniej dwudziestokilogramowa mina przeciwczołgowa. „Mrówkojad” przedzierał się przez resztki barykady, kiedy zatrzęsała się ziemia i dwutonowy pojazd wystzelił w górę w śłupie dymu i ognia. Aleksander znajdował się wtedy w odległości jakichś piętnastu metrów – porównywał właśnie widoczny po prawej biały parterowy budynek z fotą, którą przysłał mu Kat, wciąż zatroskany o domek Orzeszkowej. Fala uderzeniowa rzuciła go w tył, uderzył plecami w latarnię, kevlarowe płyty pancerza trzasnęły ostro jak łamane szkło. Odbił się od żelaznego słupa i poleciał przed siebie, gubiąc karabin. Wpadł do jakichś drzwi, z całej siły walnął hełmem o niską futrynę, chrupnęła zgniatana kamera, a on opadł na kolana i runął przed siebie, na twarz, w czarną studnię pełną migotliwych iskiek.

— Duszeńka, eto nawierniaka amierikaniec — powiedział jakiś niski i zachrypnięty głos. — Ani tam w armii Niegrow imiejut. Nu i ładna, mozet byt' w Amieriku wkljuczat nas.

M'Beki czuł na twarzy coś mokrego, a w ustach coś ostrego. Znał ten smak, kojarzył mu się ze starą bacówką na Hali Gąsienicowej, gdzie za studenckich czasów pił z miejscowymi bimbler pod oscypki. Ten też był niezły. Przełknął i powoli otworzył oczy.

Półleżał, oparty o wór wypchany czymś miękkim, w obskurnym korytarzu. Pochylał się nad nim w nieogolony kędzierzawy osobnik w kraciastej koszuli. W dłoni trzymał

butelkę z mętnym płynem. Z niej polewał twarz Aleksandra. Za mężczyzną stała blondynka w wyraźną nadwagę i zaglądała mu przez ramię. Kiedy zobaczyła, że żołnierz się ocknął, zakryła usta ręką i zniknęła.

Tubylec chiząknął i powiedział przemaszającym tonem:

— Wada zakonczyłaś, truby suchyje, tri dnia, kak sakratili. Tolka samagona dastatoczna. A wy atkuda? Iz Nju Jorka, Waszingtona? Da nu, karocze, Arizona?

Podciągnął się i mimowolnie jęknął, bo po sponiewieranym przez latarnię kręgosłupie przebiegł prąd ognistego bólu. Oparł się wygodniej o worek i znieruchomiał. W ciemieniu napierdziałało go tak, jakby łeb miał mu się





Fragment powieści

rozlecieć na ćwiartki. Pomacał się ostrożnie po czaszce i wyczuł na jej czubku potężnego guza. Nieźle musiał przyzdzwonić w tę framugę. Zobaczył, że obok worka leży jego hełm – a raczej to, co z niego zostało. Kamerę zmiotło na amen, podobnie jak noktowizor, zewnętrzne zapasowe ogniwo, antenę i parę innych ustroistów, które konstruktorzy zamontowali na tym garnku. Szybka przyłbicy pękła i ekran szlag trafił. Nie świeciła się żadna kontrolka. Co miało tę dobrą stronę, że wodzowie nie wiedzieli, gdzie jest kapral M’Beki. Zwłaszcza że walki wcale nie wygasły, do korytarza nadal dobiegał nieregularny grzechot wystrażaków. Błyskawiczna ofensywa generała Zarakowskiego wciąż trwała, tyle że front wyraźnie przesunął się... gdzieś tam. Z drugiej strony bez tego nafaszerowanego elektroniką garnka czuł się bezradny jak niemowlę.

Zerknął ostrożnie na boki – leżał w wąskim korytarzu, w jakiejś bardzo wiekowej kamienic, o czym świadczył tynk zżarty przez pleśń, naprzeciwko przedsiönka klatki schodowej. Na prawo widział resztki drzwi, wiszące na zawiasach, to pewnie przez nie wleciał tu z ulicy. Po lewej korytarz wychodził na podwórko, zarośnięte bujną trawą. Grzebała w niej w poszukiwaniu karmy różowa świnka, niespecjalnie przejęta wystrażakami.

Kędzierzawy kucnął obok niego i zaproponował łufę z gwinta. Aleksander pomyślał, że chętnie przypomni sobie studenckie czasy, poza tym potrzebował znieczulenia. Pociągnął zdrowo, domowa wódka przyjemnie paliła w gardle, a i łupanie w ciemieniu jakby się zmniejszyło.

– Tak, otkuda wy? – tamten nie dawał za wygraną. – Razwie iz Tiechasa?

– Z Wrocławia – odparł M’Beki. Pociągnął jeszcze raz z butelki i ból prawie ustał.

Tamten wyglądał na rozczarowanego.

– S Polszy? Niegr?

– A bo co? Matka była z domu Kwiatkowska, jak chcesz wiedzieć – powiedziała, pokazując na ramieniu biało-czerwoną naszywkę, rzeczywiście słabo rozpoznawalną, bo mocno zabrudzoną.

Mężczyzna patrzył przed siebie i kręcił w zadumie głową.

– To znaczy się co – odezwał się po polsku. – To teraz będzie tu znowu Polska? Tak jak pized tamtą wojną?

M’Beki ponownie obmacał sobie czaszkę. Odniośł wrażenie, że guz na ciemieniu jest jeszcze większy. Musiał się obluzować moduł kompa, mówił zbrojmistrzowi, że jego garnek jest trefny i żeby dał nowy, ale stary kutas go nie lubił, jak zresztą wszystkich kolorowych, i nie wymienił. Teraz będzie musiał, jak mu przyniesie ten szmelc.

– Nie sądzę – odpowiedział. – Raczej Białoruś.

Kędzierzawy sięgnął po butelkę, którą M’Beki postawił u swoich stóp, i pociągnął słuszny łyk. Nie wyglądał na specjalnie uradowanego.

– Białoruś to my już mieli, każdy bał’ko ją obiecywał, i stary Łukaszka, i jego syn, Miakałajka, i Tarasienko...

W tym momencie ktoś pchnął resztki drzwi prowadzących na ulicę i do korytarza wleciał brzęczący trzmiel, a po chwili pokazał się Gapa. Gdy kamery pokazały leżącego kaprala, display jego przyłbicy zamigotał zmieniającymi się obrazami. To pewnie dowódcy cieszyli się z odnalezienia zguby. Kędzierzawy przyglądał mu się ze zdumieniem.



— To i Kitajców macie w tej Polsce? — zawołał.

Gapa zignorował go i podszedł do leżącego wciąż na worku M'Bekiego.

— Kontuzjowany, przysłać wsparcie medyczne — rzucił do mikrofonu. Display od razu przygasł. Dobrze, wodzowie się odczepili i udali na inne pola chwały.

— Prawie po wojence, bronią się jeszcze tylko w rejonie dworca, to już długo nie potrwa, Grodno nasze — powiedział do niezbyt ciekawego rozwoju sytuacji kaprała, po czym odwrócił się do tubylca: — Nie jestem żadnym Chińczykiem, tylko Polakiem. Z Warszawy — podkreślił.

— No pewnie, Polak zaiste arcyprawdziwy — warknął M'Beki, którego znowu zaczęło łupać w głowie. — Ojciec z Danang, a matka z Sajgonu. Słowianie jak się patrzy...

Tubylec patrzył to na jednego, to na drugiego, i po jego minie było widać, że nic a nic nie rozumie.

— Pewnie, ty Polaku z Gabonu, znasz się na tym naj... — zaczął Gapa, ale przerwał, w korytarzu, zamiast sanitariuszy, pojawił się sierżant Katelbach. Miał podniesioną przyłbicę, a jego marsowe i prawie już oficerskie oblicze zwiastowało kłopoty.

— Beka, ty mnie jeszcze nie znasz, ale mnie poznasz... wiesz, co zostało z domu Orzeszkowej po tej minie? Kto, do cholery, kazał ci się tam pchać bez saperów!?

M'Beki zamknął oczy i udał, że zemdłał. Kiedy sanitariusze wynosili go na ulicę, słyszał jeszcze, jak Gapa tłumaczy sierżantowi, że domku wieszczki oczywiście szkoda, ale przecież się go odbuduje...

[...]

fragment powieści *Polska 2*

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

APOCALYPSE NOW! (TRYPTYK)

1. Scenariusz

Kiedy *Czerwony Karzeł* ogłosił konkurs na najlepszy scenariusz Apokalipsy, niezwłocznie zabrałem się do pracy. Możliwy acz tajemniczy sponsor z Bliskiego Wschodu (Megiddo, Inc.) zapewniał nie tylko wysoką nagrodę w petrodolarach, ale także specjalną stronę internetową, na której zalogowani uczestnicy konkursu mogli szlifować swoje pomysły, dopingowani życzliwą krytyką, wskazującą niedoróbki i słabe punkty. Wielokrotnie zmieniałem podstawową koncepcję, aż wreszcie zrozumiałem, że mam przed sobą rezultat, o jakim marzyłem: ten jedyny scenariusz, który był perfekcyjny zarówno pod względem pomysłu, jak i potencjalnego wykonania.

Gdy kolejnego ranka włączyłem komputer, ekran rozjarzył się następującym komunikatem:

YOU ARE THE WINNER!



a następnie:

EXECUTE?

YES / NO

Przyznam, że wahałem się tylko przez chwili

2. Kiedy byliśmy czarni

- Tato, opowiedz o tym, jak byliśmy czarni!
- Bambo, nie marudź, tyle razy już ci to opowiadałem...
 - Tylko nie Bambo, tato! Sam mówiłeś, że tak mnie przeżywały te paskudne biaśasy!
 - Masz rację, synku. A co mi tam, opowiem jeszcze raz. Do rana daleko...
- ...Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze byłeś malutki, wszyscy byliśmy czarni i było nas bardzo, bardzo dużo. A potem przyszedł jeden dzień i jedna noc okropna i niebo zapłonęło tysiącem słońc, ale my schroniliśmy się w jaskiniach. Rankiem spadł z nieba wielki ogień i podpalił sawannę, ale my schroniliśmy się w rzece. Potem spadł z nieba ogromny deszcz i ugasił ogień, a my schroniliśmy się przed wodą wśród wysokich skał. Na końcu przyszły białe upiory i chciały wypić naszą krew, ale była ona dla nich bardzo niedobra. Pluły i wymiotowały, a potem poszły sobie. Później jednak zgłodniały, wróciły i wypity krew naszych bliskich, całego naszego plemienia. Tylko nas zostawiły, bo już przemieniły się i byliśmy tacy, jak one. Mamy teraz białą i delikatną skórę, dlatego polować możemy tylko nocą. Za to widzimy w ciemności i jesteśmy szybcy jak antylopy. Nie musimy też żywić się krwią, żeby przeżyć. Dlatego to właśnie my żyjemy, a upiory pomarły z głodu co do jednego. Zostaliśmy we czwórce: ja z mamą i ty z siostrzyczką. Mamy bladą cerę, czarne, kręcone włosy, długie zęby i jesteśmy ostatnimi z naszego plemienia. A także chyba jedynymi biaśasami na świecie...
- ...Śpisz już? I znowu trzeba ci będzie opowiadać wszystko od początku...

3. Powrót

Już z daleka widzieliśmy, że z Ziemią jest niedobrze. Zamiast światła wielkich miast płonęły lasy i stepy, duże połacie lądów znalazły się pod wodą, eter wypełniał jedynie szum i chaos radioaktywnego tła. Szukaliśmy żywych, lecz znajdowaliśmy tylko zwłoki. W ruinach miast wyły wilki i nie było nikogo, kogo moglibyśmy powitać.

Dopiero po paru miesiącach odkryliśmy samotne ognisko na bezkresnej sawannie, a przy nim czwórkę ocalałych. Przetrwali wszystko: radioaktywną burzę, deszcz ognia i popiół, a na końcu przemiań w swoich prześladowców, co pewnie paradoksalnie wyszło im na zdrowie. Są ostatnią nadzieją ludzkości – bo przecież nie jesteśmy nią my, zbłąkane duchy, które nie mogą znaleźć swojego miejsca we Wszechświecie.

Od autora: No i popatrzcie, co żeście narobili!

Oświadczenie Megiddo, Inc.:

To nie my! Takie konkursy można znaleźć na każdej stronie internetowej!



ROBERT RUSIK

GAMBIT PRZEZNACZENIA

— Jak? — Kapitan Malone ze zniecierpliwieniem spojrzął na technika. Ten jednak tylko bezradnie rozłożył ręce i ponownie zaczął grzebać w zeluściach aparatury komunikacyjnej.

— Świetnie — mruknął Malone i usiadł w fotelu. Z uwagą obserwował jak Nitaka, drobny, czarnowłosy Japończyk delikatnymi dłońmi operuje przy kablach i układach scalonych, próbując odzyskać łączność z Ziemią.

To był naprawdę pech. Dziesięć lat temu, według czasu ziemskiego, wylatowali w historyczną, pierwszą międzygwiazdową podróż. Żegnali ich tłumy na kosmodromie i miliardy widzów przed telewizorami, przez kilka miesięcy przed podróżą twarze Malone'a, Nitaki i lekarza pokładowego Oloffsona nie schodziły niemal z czołówek gazet i programów telewizyjnych. Potężny statek międzygwiazdowy Hevelius, który pozwalał, choć w ograniczonym zakresie, na to, o czym od dawna marzyli twórcy literatury S-F, czyli popularne skoki nadprzestrzenne, miał zaskakująco mało miejsca dla załogi. Ale też i nic dziwnego – choć na skutek dylatacji czasu dla załogi miało upłynąć tylko dwa lata, to jednak na ten właśnie okres należało Heveliusa zaopatrzyć we wszystko, co było niezbędne dla przeżycia. Nie tylko zapas paliwa i części, ale także żywności, leków, a także siłownię czy małą salę do przeprowadzenia ewentualnej operacji. Miejsca dla siebie i swojej prywatności załoganci mieli naprawdę niewiele – liczył się każdy centymetr kwadratowy.

No i oczywiście aparatura badawcza. Zebranego na planetach podwójnego układu Alfa Centauri materiału starczy zapewne na kilka ładnych lat analizy. Zwłaszcza że Galileo, wszechstronny lądowik, potrafiący nie tylko usiąść na powierzchni planety, ale również zwiedzać ją niczym niewielki helikopter, sprawił się znakomicie. Choć miejsca w nim było dość dla całej załogi, tylko Malone, jako kapitan, dostąpił zaszczytu zwiedzenia skalnej planety okrążających towarzyszkę Słońca. To zresztą było powodem jednej z nielicznych niesnasek na pokładzie Heveliusa. Mimo iż nie powiedzieli mu tego wprost, kapitan wyczuwał niechęć ze strony kolegów. Wiedział, że też chcieliby uczestniczyć w tym historycznym locie, ale po pierwsze, ktoś i tak na pokładzie statku-matki zostać musiał, a po drugie...

Po drugie, historia zapisze jego nazwisko, obok Kolumba i Armstronga. Malone'a, pierwszego czarnoskórego mężczyzny, który znajdzie się na panteonie zdobywców.

Jego. I tylko jego.

* * *

Śluza otworzyła się niemal bezszelestnie. Do niewielkiej kabiny wszedł trzeci człowiek załogi, olbrzymi, prawie dwumetrowy blondyn. Odłożył hełm i niezgrabnie zaczął zdejmować skafander, służący do wyjść w przestrzeń kosmiczną. Malone'owi wydawało się, iż skandynawski wielkolud mruczy coś o pająkach. Zaśmiał się w duchu. W przestrzeni kosmicznej żadne stworzenia przeżyć nie mogły, a wewnątrz statek był tak sterylny, iż spotkanie



jakichkolwiek nieplanowanych gości, pajaków czy jakichś owadów, było niemożliwe. Nie zdarzyło się to zresztą przez cały czas lotu. Kapitan pomyślał, iż się po prostu przesłyszał.

Oloffson wreszcie uwolnił się ze skafandra i pokręcił głową, spoglądając na kolegów.

— Wszystko w porządku, antena cała.

Spodziewali się takiej odpowiedzi. Prawdopodobieństwo spotkania w przestrzeni czegoś, co naruszyłoby konstrukcję Heveliusa, było tak małe, że nikt nie brał uszkodzenia mechanicznego anteny na poważnie. Ale sprawdzić należało.

— Za kilka dni wracamy na Ziemię i nie możemy jej o tym poinformować. Przecież to bez sensu! — krzyknął Malone. Skandynaw i Azjata spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Oloffson wzruszył ramionami i zniknął w toalecie, Nitaka włożył ostatnią kość pamięci na swoje miejsce i włączył monitor.

— Nadal nic — stwierdził. — Do cholery, kapitanie, wygląda na to, że wszystko powinno działać!

— Ale nie działa — ze złością rzekł Malone. Zamknął oczy i spokojnie policzył do dziesięciu. W końcu on był dowódcą tego statku, nie powinien tracić nad sobą kontroli.

— Dobra, nadawaj wiadomość, że wracamy. Skoro uważasz, że to cholerstwo powinno działać, to może tyłko my ich nie słyszymy, a oni nas tak.

— Nadawaj, nadawaj, bo tęsknię już za szklaneczką whisky — Oloffson wrócił do kabiny, spoglądając na bezradnego Nitakę.

— A jak nas nie słyszą? — zapytał Japończyk.

Malone zagryzł wargi, po czym, widząc pełne oczekiwania spojrzenia, odzrekł:

— Tak czy siak powinni widzieć nas na radarach. Poza tym przycumujemy do Zeusa, skąd potoczmy się z Ziemią, by nie byli zaskoczeni, gdyby nas jakimś cudem przegapili.

I żeby mogli przygotować całe morze dobrej, szkockiej whisky, pomyślał rozpozgodzony Oloffson.

* * *

Dokowanie do, krążącej po orbicie okołoziemskiej, stacji kosmicznej Zeus, przebiegło bez zakłóceń. Co prawda Oloffson, usiłując zamaskować zdenerwowanie, rzucił kilka dość prostackich żartów o tym, iż mieszkańcy stacji powitają gości milczącego statku znikąd bronią laserową, niczym obcych, ale skupiony na manewrze Malone w niewybrednych słowach kazał mu się w końcu zamknąć.

Kapitan, ujmując dźwignię śluzu, poczuł, że się poci. Zielone światełko migało sygnalizując, że śluza jest szczelna i można wchodzić bez problemu. Po raz pierwszy od ponad stu tygodni miał ujrzeć i porozmawiać z innym człowiekiem.

Odetchnął głęboko i przekręcił zawór. Wszedł do małej, oświetlonej kilkoma punktowymi światłami śluzu, po nim wśliznął się Nitaka. Wrota za nimi zamknęły się automatycznie, niczym przesłona obiektywu.

Mimo iż magnesy w ciężkich butach momentalnie przyczepiły się do umownej podłogi, mężczyźni poczuli lekkie zaburzenia orientacji i równowagi. Potężny Hevelius miał sztuczną grawitację, dzięki czemu nie odczuwali braku ciężenia. Jednak na Zeusie kosmonauci przebywali w stanie nieważkości, jedynie umownie przyjmując poszczególne



powierzchnie boczne niektórych pomieszczeń i króciutkich korytarzy za „sufit” czy ściany. Oczywiście w pomieszczeniach badawczych każda ze ścian była maksymalnie wykorzystana, szkoda było marnować miejsca na grawitacyjną iluzję.

Kosmonauci spokojnie czekali, aż licznik na ścianie wskaże temperaturę pokojową. Na wszelki wypadek Malone sprawdził, czy wskazanie termometru pokładowego jest zgodne z liczbą, jaką wskazywał czujnik znajdujący się na rękawie kapitana. Z satysfakcją spojrzął na rząd zielonych światełek, jakie zapaliły się na ścianie i przyzwalająco kiwnął głową w stronę Azjaty.

Nitaka ściągnął półprzezroczysty hełm. Uśmiechnął się do Afroamerykanina.

Oczy Japończyka rozszerzyły się niemal do granic możliwości. Jego twarz posiniała, usta rozwarły się, niczym do krzyku, ale mężczyzna nie był w stanie wydobyć z siebie odgłosu. Dłonie opłotły gardło w niemym geście rozpaczy.

Malone zrozumiał błyskawicznie.

— Założ hełm! — krzyknął odruchowo zapominając, iż Nitaka nie ma szans go usłyszeć. Podskoczył ku koledze, podnosząc szklaną kulę z podłogi i błyskawicznie zakładając ją na głowę Japończyka. Na szczęście ten, choć spanikowany, nie stracił zimnej krwi i w lot pojął intencję kapitana.

— Co się tam dzieje? — dobiegł ich zdenerwowany głos Oloffsona, który pozostał na Heveliusie.

Zignorowali go. Po przekręceniu zaworu Malone z ulgą zauważył, iż Azjata nie wykazuje żadnych niepokojących objawów. Oddychał tylko gwałtownie, jednak to akurat było zrozumiałe biorąc pod uwagę fakt, iż znalazł się w przestrzeni pozbawionej tlenu.





— Żyjecie? — Oloffson był coraz bardziej spanikowany.

— Żyjemy, uspokój się! — Stanowczym głosem rzekł kapitan. Widok, który ujrzął po otworzeniu wewnętrznych drzwi stacji kosmicznej, zmusił go do wydania jeszcze jednej komendy:

— Oloffson, przyjdź do nas. Pod żadnym pozorem nie ściągaaj hełmu. I weź latarkę.

* * *

Dziesiątki różnokolorowych światełek migają w surrealistycznym rytmie, tworząc niepokojącą atmosferę. Jednak główne zasilanie stacji padło, nie było widać jakichkolwiek oznak życia. Ciemność, jaka panowała, w połączeniu z wąskimi korytarzami przyprawiała załogę Heveliusa o klaustrofobię.

— Wrócili na Ziemię? — zapytał Oloffson.

— Pewnie tak — odrzekł Malone. — Tlenu w powietrzu prawie nie ma, zasilania brak.

— A czemu to miga? — zdziwił się blondyn, spoglądając na mrugające świetliki.

— Baterie. Widocznie opuścili Zeusa na tyle niedawno, że nie zdążyły się wyczerpać.

Podeszli do pierwszych drzwi.

— Jeśli dobrze pamiętam, za tym korytarzem na prawo powinno być laboratorium i moduł łączności — odezwał się nieoczekiwanie Nitaka.

Ruszyli naprzód. Światło latarki niepewnie pełzało to po ścianach, to po umowej podłodze. Migoczące światełka znikły, przed nimi była tylko ciemność. Tunel zdawał się zamykać dookoła nich, na szczęście kolejna śluza była tylko kilkanaście metrów dalej. Kiedy kapitan odblokowywał drzwi, w słuchawkach hełmów słyszeli wyraźnie, jak drży mu oddech.

Stali w śluzie przejściowej, po prawej mieli, zgodnie z tym, co mówił Japończyk, moduły badawcze, po lewej pomieszczenia prywatne oraz siłownia.

— Nitaka, sprawdź laboratorium i zobacz, czy da się skorzystać z radia. My idziemy do części mieszkalnej.

Kiedy drobny Japończyk zniknął za błyszczącymi drzwiami, kapitan ujął metalową dźwignię w dłoń i stanowczym ruchem podniósł do góry. Wszedł do niewielkiego pomieszczenia i omiół światłem latarki najbliższe koje.

— O, kurwa. — Oloffson, który wtoczył się zaraz po czarnoskórym mężczyźnie, z niedowierzaniem spoglądał na nieprawdopodobną scenę, jaka ukazała im się w bladej żółtym kręgu.

A jednak nie polecili do domu, pomyślał Szwed, kiedy nagle w jego słuchawkach rozległ się przerażający wrzask Nitaki.

* * *

Zebrał się w pomieszczeniu łączności, całą trójką. O dziwo, wydawało się, iż radio działało, choć pozostałe urządzenia nie dały się włączyć. Przez chwilę mieli nadzieję, że w pamięci komputerów lub na dyskach twardych znajdą jakieś informacje wyjaśniające to, co się stało, jednak brak zasilania rozwiął ich nadzieje.

Zazwyczaj spokojny i opanowany Azjata drżącymi dłońmi obsługiwał komunikator, próbując połączyć się z Ziemią, lecz jego wzrok co chwilę uciekał w bok, gdzie leżały zwłoki człowieka. Ubytki w ciele i kawałki surowego mięsa, prześwitujące przez rany, sprawiały



wrażenie, jakby załogant „Zeusa” padł ofiarą jakiegoś kosmity. Przerażenie, malujące się na twarzy zmarłego, zdawało się potwierdzać. Oloffson natychmiast zresztą wysnuł taką teorię, jednak został błyskawicznie wyśmiany przez Malone’a, który wytłumaczył pozostałym, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w filmach, i to tych nie za bardzo dbających o logikę.

— No to co się stało? — Ciekawski jak zawsze Oloffson z trudem powstrzymywał odruch wymiotny. — Dwa trupiaki, leżące spokojnie w łózkach, jak gdyby dopiero zasnęli, teraz ten obgryziony. Ktoś mi to wyjaśni?

Malone otworzył usta, pragnąc coś powiedzieć, jednak nagle zamarł. Po chwili spojrzął na Oloffsona i rzekł:

— Daj mi latarkę.

Nie było go przez irytująco długą chwilę, podczas której olbrzymi blondyn obserwował nieudane próby połączenia z Ziemią podejmowane przez Nitakę. Z nudów zaczął nawet przeglądać papiery, porozrzucane w pomieszczeniu. Naraz zmarszczył brwi.

— Kapitanie Malone? — zapytał, jednak nie usłyszał odpowiedzi.

Zaniepokoił się, na szczęście niepotrzebnie, dowódca właśnie wchodził do pomieszczenia.

— Słucham, Oloffson.

— Z tych notatek wynika...

— Że była jeszcze jedna osoba na stacji? — uśmiechnął się domyślnie Malone. — Była, znalazłem ją. Tam, gdzie spodziewałem się znaleźć.

A widząc lekko podniesiony hełm blondyna dodał:

— W magazynie. To chyba oczywiste?

* * *

Nitaka bezradnie rozłożył ręce. Jeszcze raz spojrzął lękliwie na trupa, po czym rzekł:

— Wygląda na ten sam problem, co u nas. Powinno działać, a nie działa.

— Dupa z ciebie, bracie, a nie radiowiec. — Oloffson za późno ugryzł się w język. — Przepraszam, stary, to przez tego wytrzeszcza. — Wskazał na trupa.

Malone miał już na końcu języka zdanie, iż z Oloffsona był identyczny lekarz pokładowy, jak z Nitaki radiowiec, ale darował sobie komentarz. W obecnej sytuacji, gdy otaczały ich dziwne i niewyjaśnione zgony, lepiej było nie wszczynać dodatkowych awantur.

— Skąd pan wiedział, kapitanie, gdzie szukać? — zapytał olbrzymi blondyn.

Malone uśmiechnął się.

— Tamci dwaj, co leżeli w łózkach, byli zwinieci w kłębek. Prawdopodobnie zadusili się z braku tlenu. Ale ten... — wskazał na zakrwawione zwłoki — ten jest, wybaczenie sformułowanie, nadgryziony. Ktoś zapewne próbował go zjeść, a raczej nie zrobili tego tamci dwaj. Ale skoro był głodny, powinien udać się do magazynu żywności.

— I był tam?

— Była — pokiwał głową Malone. — Kobieta.

Oloffson spojrzął na niego z osłupieniem.

— Baba? — krzyknął. — Wykończyła trzech chłopów?

— Na to wygląda — westchnął dowódca. — Prawdopodobnie zabiła tamtych dwóch, potem tego nieszczęśnika a następnie zmarła, albo z głodu, albo z braku tlenu. Pozostaje tylko



jedno pytanie. Dlaczego, jeśli się ich obawiała, jeśli stanowili dla niej jakieś zagrożenie, po prostu nie wróciła na Ziemię? Mogła przecież wsiąść do lądownika i polecieć do bazy.

— Czy to nie oczywiste? — odezwał się milczący dotąd Nitaka, wpatrując się w iluminator.

— Nie do końca — rzekł Oloffson. — Wiesz coś o czym my nie wiemy?

— Wiem — bez uśmiechu rzekł Japończyk. — Wiem, czego nie zrobiliśmy. Zaaferowani całą tą sytuacją, nie spojrzeliśmy przez okno. A teraz jesteśmy po nocnej stronie naszej planety. Widzicie?

Nie widzieli. Nic.

Na całej widocznej półkuli nie było ani jednego światła.

* * *

Galileo miękko osiadł na Ziemi. Oloffson westchnął. Wiedział, że jedna osoba z załogi będzie musiała zostać na pokładzie. Nęciło go, by w końcu wyrwać się z klaustrofobicznych pomieszczeń i nacieszyć otwartą przestrzenią, ale, choć to Nitaka był technikiem, na ojczywej planecie o tym, kto zostanie, zdecydowała popularna gra kamień-papier-nożyce.

Nie byłoby problemu, gdyby się okazało, że ten cholerny żółtek się myli, pomyślał wściekły Szwed. Ale podczas lądowania z coraz większym zaniepokojeniem obserwowali, iż nad terenami, nad którymi przelatowali, nie było widać zupełnie oznak życia. Co gorsza, spora część miast sprawiała wrażenie zrujnowanych i wypalonych. Podczas szybkiej dyskusji rozważali dwie opcje: swobodny lot nad Ameryką do czasu znalezienia żywych ludzi bądź też lądowanie zgodnie z planem i, zależnie od zastanej sytuacji, spotkanie z witalnymi bądź też poszukiwanie wyjaśnień.

Opcja druga zwyciężyła, głównie dzięki argumentowi Nitaki, iż zapasy paliwa nie są nieograniczone, a nie ma pewności, że uda się je uzupełnić.

Postanowili więc, niezależnie od tego, co zobaczą podczas lądowania, obrać kurs na Cape Canaveral.

Coraz bardziej chmurne czoło Malone'a nie uszło uwagi reszty załogi. Sami zresztą widzieli, że choć przelecieli niemal cały kontynent wszerz, nie znaleziono nigdzie oznak życia.

Kiedy dotarli do Florydy, Malone zmienił plany.

— Orlando — rzekł. — Lądujemy w Orlando.

* * *

Oloffson nudził się. Przez okno lądownika widział nieodległe, straszliwie spustoszone miasto. Słyszał komunikację między kolegami, jednak była ona strasznie lakoniczna i potwierdzała to, co widzieli od kilku godzin – mijane miasta były całkowicie opustoszałe. Przypomniawszy sobie, jak dziesięć lat temu odlatywali stąd, żegnani przez dziesiątki tysięcy wiwatujących ludzi oraz polityków z całego świata, którzy na tę jedną chwilę zjednoczyli się we wspólnym celu.

„Działo się” – pomyślał. Wywiady, filmy, reklamy... No i dziewczyny, tak łase na wdzięki przyszłego bohatera. Każda z nich z wirtuozerią starała się, by ostatnie chwile na Ziemi zapamiętała na długo. A on korzystał, tyłecz zachłannie, co beznamiętnie.

Jeszcze dwa lata przed podróżą nie przypuszczała, iż jego życie tak się potoczy. Mimo przyciągającej wzrok urody miał tylko jedną partnerkę i nie widział poza nią świata. W drodze był ich kolejny potomek, kiedy ta cholerna ciężarówka...



Poczuł piekące łzy pod powiekami. Po raz pierwszy wtedy śniły mu się pająki. Setki, tysiące pająków. Czarnych, kosmatych i brązowych, o długich, cienkich odnóżach. Chodziły po jego sypialni, powoli zbliżając się do jego nagiego, drżącego ciała. Kosmyki, pokrywające ich odnóża, delikatnie drażniły skórę, kiedy w końcu weszły na niego. Nie mógł się poruszyć... Nie mógł... Bezsilnie spoglądał, jak powoli, od stóp, wpełzają na jego ciało, delikatny szelest poruszających odnóży irytująco drażnił jego słuch. Zbliżały się powoli do jego piersi, do jego szyi, do jego ust...

Obudził go telefon, a kiedy usłyszał, iż jego świat właśnie się zawalił, wybuchnął śmiechem. To tylko sen, pomyślał. To tylko dalsza część tego chorego snu.

Później było już standardowo – alkohol, narkotyki, dwie próby samobójcze. I chęć znalezienia się jak najdalej od tego świata. Ponieważ cudem uniknął psychiatryka, a w dodatku, jako były komandos, miał świetne przygotowanie fizyczne, jak również potrafił leczyć ludzi, spełnił swoje marzenie o podróży gdzieś tam. Gdzieś, gdzie będzie daleko od tej planety, a jednocześnie blisko miejsca, w którym ponoć przebywa Bóg.

Tak. Miał nadzieję odnaleźć Boga i zapytać go, twarzą w twarz, dlaczego?

* * *

Malone rozglądał się bezradnie. Widzieć to z góry, to było coś zupełnie innego, niż stanąć z zagłoda twarzą w twarz. Razem z Nitaką rozglądali się, nie wierząc w widok, który rozciągał się przed ich oczami.

Wieżowce, stojące w centrum miasta, straszły kikutami kratownic. Wraki samochodów i zrujnowane domostwa pokryte były zielenią, która zdobywała nieubłagane niedostępne sobie dotychczas tereny. Po ulicach biegały watahy szczurów, bez strachu spoglądając na dwójkę mężczyzn. I, co stwierdzili zdejmując w końcu hełmy i zaciągając się powietrzem, śmierdziało. Straszliwie śmierdziało.

Bez większej nadziei przeszukiwali kolejne bloki. Tu i ówdzie spoczywał na ziemi pojedynczy szkielet, szczerząc zęby w grymasie przerażenia.

— Dziwne — powiedział nagle Nitaka.

— Co? — Malone spojżał ze zdziwieniem na kolegę.

— Sklepy. Są całkowicie puste. A przecież, skoro doszło do wojny nuklearnej, wszyscy powinni zginać natychmiast.

Kapitan przystanął. Rzeczywiście, sklepy wyglądały na opustoszone z towarów; co dziwniejsze – nie było widać w nich i w okolicach żadnych trupów, co wydawałoby się logiczne. Postanowił odłożyć tę pzagadkę na później.

— Szukajmy jakichś gazet, dokumentów, czegokolwiek, co powiedziałyby nam, jak do tego doszło.

Szukali. Bez skutku.

Większość papierów spłonęła, te nieliczne, które znaleźli, mówiły o wszystkim, tylko nie o tym, co ich interesowało. Również pamięci masowe uległy zniszczeniu, o komputerach nie wspominając. Po przeszukaniu części ruin poddali się.

— Wracamy, polecimy szukać gdzieś indziej — zdecydował Malone.

Ruszyli w stronę „Galileo”.



Z początku nie zauważyli poruszenia po prawej stronie. Zresztą pies, który wyszedł, nie wydawał się groźny. Ot, jak ocenił Amerykanin, niewielki terier.

Z powagi sytuacji zdali sobie sprawę dopiero, gdy za nim ukazało się kilka innych psów, znacznie większych niż zwiadowca. Spoglądały na nich, na razie z ciekawością, jednak bez trudu dało się słyszeć głuchy pomruk, wydobywający się z paru gardeł. Kilka pomniejszych kundli obnażyło kły w grymasie wściekłości.

— Za nami też są — wyszeptał Nitaka.

Malone z trudem powstrzymał się przed obejzeniem za siebie. Zamiast tego uruchomił radio.

— Oloffson, słyszysz nas?

Cisza.

— Oloffson, do kurwy nędzy, słyszysz nas? — wściekle szepnęła kapitan. Tym razem reakcja była szybsza.

— Znaleźliście kogoś? — dobiegł głos ze słuchawek.

— Raczej coś. Rusz dupę i przylatuj do nas natychmiast, bo za chwilę nie będzie z nas co zbierać.

Psy z zainteresowaniem przyglądały się konwersacji. Olbrzymi dog usiadł i zaczął liźać się po nodze. Nerwy Nitaki i Malone'a były napięte do ostatnich granic. Zdawali sobie sprawę, iż jeden fałszywy ruch może doprowadzić do tragedii.

— Gdzie on jest, do cholery? — zamruczał pod nosem Amerykanin. Nitaka stał nieruchomo, z przymrużonymi oczami. Oczekiwanie trwało w nieskończoność, choć w rzeczywistości minęło raptem kilka minut. Z ulgą zauważyli, że psy, widząc zniżający się lądowik, rozbiegły się w popłochu.

Błyskawicznie wskoczyli na pokład Galileo.





— Musimy polecieć w inne miejsce. Tu nic nie znajdziemy — rzekł zdyszany Malone, po czym spojział uważniej na Oloffsona i zapytał:

— Z czego się cieszysz?

— Sygnał — odparł olbrzym. — Przed chwilą złapałem sygnał. Ktoś na tej planecie żyje i nadaje.

* * *

„Takie coś zdarza się tylko w książkach” – pomyślał ponuro Nitaka. Trzecie radio, trzecie niedziałające. Choć w sumie nie do końca tak było. Tamte były pewnie sprawne, tylko nie miały sygnałów, jakie mogłyby odbierać. W Galileo z kolei sygnał złapali, ale nie wiadomo czemu nie dało się nadawać.

Spocony Nitaka spojział na Oloffsona, którego mina wyraźnie wskazywała na to, że ponownie miał ochotę przypomnieć Azjacie słowa, które rzekł na „Zeusie”. Na szczęście jeszcze się powstrzymywał.

Malone doskonale widział spojrzenie olbrzymiego blondyna, jednak czekał, gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji. Kłótnia to była ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebowali.

— Co nadają? — zapytał pozornie od niechcenia kapitan.

— Cały czas ten sam tekst. „Do wszystkich, do wszystkich, gdziekolwiek jesteście, jeśli żyjecie, odezwijcie się” — odrzekł Nitaka.

— Nie są zbyt wylewni — zauważył Szwed.

— Nic dziwnego, jeśli nadają od dłuższego czasu i to bez odzewu, zorientowali się, iż bardziej rozbudowany tekst nie ma żadnego sensu.

Spojrzeli po sobie.

— Chcesz powiedzieć, Nitaka, iż cała reszta ludzkości zginęła, a zostali tylko ci, co nadają? Bzdura! Ludzkość to nie dinozaury!

— Zgadza się — odrzekł ponuro Japończyk. — Żadne zwierzę, także dinozaur, nie wpadłoby na to, by na swoich braci i siostry spuścić bombę atomową. Żadne!

Azjata zajął się radiem, choć jego ręce lekko zdrząły. Oloffson miał ochotę walnąć głową w ścianę. Przypomniał sobie, jak podczas któregoś ze wspólnych posiłków Nitaka opowiadał o swym praprzodku, który zginął wraz z całą swą rodziną w Hiroshimie.

— Jeśli nie naprawimy radia, to ich nie znajdziemy — rzekł zmieszany Oloffson, by zmienić temat.

— Niezwykle — uśmiechnął się Malone.

— Jak to? — zdziwił się Szwed.

— W najprostszy, banalny sposób. Wystarczy mapa i linijska. No i przelecimy się jeszcze kawałek — odpowiedział kapitan, a widząc, że kolega nic nie rozumie, dodał: — Najzwyklejsza w świecie triangulacja, narysujemy kreskę w kierunku, z którego łapiemy sygnał, przelecimy kilkaset kilometrów dalej i zrobimy to samo. A na przecięciu kresek będzie punkt, z którego nadawany jest sygnał.

Oloffson zatarł ręce i z uśmiechem na twarzy rzekł:

— No to lecimy!



* * *

Zielony punkt na horyzoncie zbliżał się coraz bardziej. Jak zdążyli się zorientować, była to całkiem spora wyspa, oddalona jakieś pięćset kilometrów od wybrzeża Ameryki. Ucieszyli się, gdyż paliwo na Galileo powoli zaczynało się kończyć, a oni spragnieni byli jakichś wyjaśnień.

Zbliżając się, zauważyli, iż u wybrzeży kołysze się jakiś olbrzymi statek. Malone uśmiechnął się, potwierdzało to jego wyliczenia, iż właśnie ta wyspa była miejscem, z którego nadawano sygnał. Powoli zbliżali się do lądu, nie mogli jednak z tej wysokości zauważyć żadnych oznak życia. Czyżby jednak się mylili?

Kilkaset metrów od brzegu znajdowała się spora polana. Wydawała się być idealnym miejscem do lądowania, więc Malone, upewniwszy się, iż w pobliżu nie znajdują się żadne siedziby ludzkie, bez wahania skierował lądownik ku niej. Już po chwili wyskakiwali kolejno na pachnącą, intensywnie zieloną trawę.

— Kokosy! — Oloffson z pożądaniem spoglądał na rosnącą w pobliżu palmę.

— Spokojnie, najpierw znajdziemy mieszkańców tej wyspy.

— Nie odnieśliście wrażenia, że ona wcale nie jest zamieszкана? — niespodziewanie zapytał Nitaka.

Spojrzeli na niego z niepewnością, jednak już chwilę później dobiegający zewsząd szelest liści, świadczący o tym, iż ktoś przedzierał się przez otaczający polanę las, uzmysłowił im, że Nitaka nie miał racji.

Otoczyli ich dookoła. Wycelowali w ich kierunku broń, jednak załoga Heveliusa z zaskoczeniem usłyszała dość nietypowe słowa powitania:

— Cześć, chłopaki, co tam słycać na Alfie Centauri?

* * *

Siedzieli na plaży, dookoła ogniska, nad którym smażyły się ryby. Oloffson z zachwytem na twarzy wylizywał skorupę po orzechu kokosowym. Nitaka powściągliwie jadł pieczonego łososia, nieufnie spoglądając na otaczających go ludzi. Zachodzące słońce barwiło na krwistoczerwono taflę oceanu, zgromadzonych chłodziła lekka, morska bryza.

Malone wraz z Jonesem, mianującym się nieformalnym przywódcą wyspiarzy, odeszli na kilka kroków, by swobodnie porozmawiać.

— Widziałem zdziwienie na waszych twarzach, kiedy was powitaliśmy. A niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie. Przecież wyprawą „Heveliusa” pasjonował się cały świat, wasze twarze były wszędzie — mówił Jones — Nie zestarzeliście się wcale, chłopaki.

— Dzięki — Malone nie zdecydował się na tłumaczenie wyspiarzowi efektu dylatacji czasu. — Pamiętam również, że kiedy wylatywaliśmy, na świecie panował wszechobecny pokój, a przywódcy wszystkich państw obściskiwali się publicznie, kiedy tylko mogli.

— Ano, było słodko. Jak się okazało później, za słodko — Jones pokiwał głową i zamilkł na chwilę. Odeszli już na kilkaset metrów od zgromadzenia wyspiarzy. Malone milczał.

— Cholerni terroryści... Przyczaili się tylko, ale tak naprawdę cały czas myśleli, jak nam dosrać — kontynuował Jones — Ale zmienili metodę. Ich przywódcy wymieniali z nami uściski, a podwładni poszli na uniwersytety i zaczęli babrać się w chemii, fizyce, i co



najgorsze – biologii. Może i to miałoby sens, gdyby nie okazało się, iż mimo dyplomów i tytułów są po prostu za głupi na zaawansowany terroryzm.

— Nie wiem, gdzie popełnili błąd — kontynuował wyspiarz. — Trzy lata temu stworzyli wirusa, który był praktycznie niezniszczalny. Piekielne gówno, koszmar wszystkich lekarzy. Zarażał drogą kropelkową i przez dotyk, rozprzestrzenił się wszędzie. Nie działał na niego żaden antybiotyk. Ale co najgorsze, miał strasznie długi okres wylegania. Zanim pacjent zauważył objawy, mijało dwa, dwa i pół tygodnia. Wystarczyło rozpylić go na kilku lotniskach i zniknąć. Ludzie się porozjeżdżali, a zanim ktoś zorientował się, co jest grane, wirus rozprzestrzenił się niemal wszędzie.

— Ale w takim przypadku musieli również ucierpieć terroryści i ich ojczyzny. O ile pamiętam, ich celem była walka za wszelką cenę z niewiernymi, ale zachowanie przywilejów i obietnica raju dla wiernych — powiedział Malone.

— Owszem, dla swoich mieli antidotum, które miało ich ochronić przed chorobą.

— Nie zadziało? — zapytał Malone.

— Domyśliłeś się? — zarechotał Jones — Nie zadziało. Wszyscy zaczęli mrzeć jak muchy, niezależnie od tego, czy brali antidotum, czy nie. Naukowcy zaczęli szukać remedium, świat stanął na krawędzi zagłady. Wystarczyła tylko iskra, by doszło do jeszcze gorszej klęski...

— Iskra? — Zapytał Malone, gdy zawrócili w stronę towarzyszy.

— Owszem. Kiedy atomowa broń wpada w ręce osób nieodpowiedzialnych, wystarcza naprawdę niewiele. A jeśli ktoś puszcza plotkę, że jedyną rzeczą, niszczącą wirusa, jest broń atomowa...

— Rozumiem — odrzekł kapitan Heveliusa, choć szczerze powiedziałwszy, nic już z tego nie rozumiał. To wszystko nie miało sensu, było jakimś kosmicznym absurdem i koszmarem. Przypomniały mu się słowa Nitaki: żadne zwierzę, także dinozaur, nie wpadłoby na to, by na swoich braci i siostry spuścić bombę atomową. No właśnie, żadne zwierzę...

— A wy, skąd się tu wzięliście? — zapytał Afroamerykanin.

— Jak mówiłem, wojna rozpoczęła się trzy lata temu. Wypłynęliśmy wtedy w luksusowy, czterotygodniowy rejs po Atlantyku. Dosłownie dzień później nastąpił atak na lotniskach. Początkowo nie wyglądało to groźnie, jednak z każdym dniem z coraz większym przerażeniem śledziliśmy informacje. Mieliśmy nadzieję, iż to tylko chwilowy kryzys, jednak kolejne dni pozbawiły nas złudzeń. A gdy doszło do nuklearnej wymiany ciosów – wiedzieliśmy, że to koniec. Początkowo utrzymywaliśmy łączność z wieloma obozami, zgromadzeniami czy jak to zwał, które przetrwały Armageddon. Ale okazywało się wkrótce, iż wśród nich była jakaś osoba zarażona wirusem. A to oznaczało zagładę. Jakies dwa miesiące po pierwszym ataku było już po wszystkim. Nadawaliśmy jeszcze sygnał, najpierw na okrągło, potem, by oszczędzać na paliwie, raz na jakiś czas. Nikt nie odpowiadał.

— I nikt nie przeżył? — Na twarzy kapitana odmalowało się przerażenie, połączone z szokiem.

— Nikt, kto dysponuje radiem. Być może, gdzieś jeszcze są i żyją jakieś niedobitki, ale śmiem twierdzić, iż jesteśmy jedynymi, którzy przetrwali. Wirus rozprzestrzenił się również



w powietrzu, wraz z podmuchami wiatru zarażając kolejnych ludzi, jedyną przeszkodą dla niego były, nie wiedzieć czemu, oceany. A czego nie zrobił wirus, dokończyły nuklearne grzyby.

Wrócili do ogniska. Spojrzył na Oloffsona, delektującego się bananami, na Nitakę, spoglądającego w milczeniu na ostatni skrawek zachodzącego słońca. I nagle przysłała mu do głowy koszmarna myśl. Poczł się źle. Bardzo źle.

— Dlaczego zatem nie wróciliście na ląd stały? Przecież nie we wszystkie miejsca spadły bomby, macie statek, a tam możecie skorzystać z pozostałej infrastruktury. Po co się tu gnieździć? — zapytał.

— Wrócimy — odrzekł twardo Jones — Będziemy tu żywić się tym, co wyspa nam daje, i wrócimy. Ale musimy poczekać.

— A na co tu czekać? — zapytał Malone, choć nagle poczuł ciarki na plecach. Miał nadzieję, iż nie usłyszcy tego, co zagnieździło się w jego umyśle i odbijało głuchym echem wewnątrz czaszki.

— Naukowcom udało się ustalić, iż żywotność wirusa wynosi jakieś osiem lat. I przynajmniej tyle musimy poczekać, a wy z nami — odrzekł wyspiarz.

Oloffson zjadał z apetytem kolejnego banana, kiedy ze zdziwieniem spostrzegł, iż twarz dowódcy Heveliusa pokrywa się szarością. Przywódca wyspiarzy chwycił dowódcę za kombinezon, przyciągnął do siebie i krzyknął:

— Byliście tam? Na litość boską, byliście tam??!!

* * *

Żdźbło trawy ugięło się, kiedy wszedł na nie pająk. Stawonóg spojżył przed siebie, ocenił, iż nie jest to jednak dobre miejsce na założenie pajęczyny i ruszył dalej, ku wzgórz.

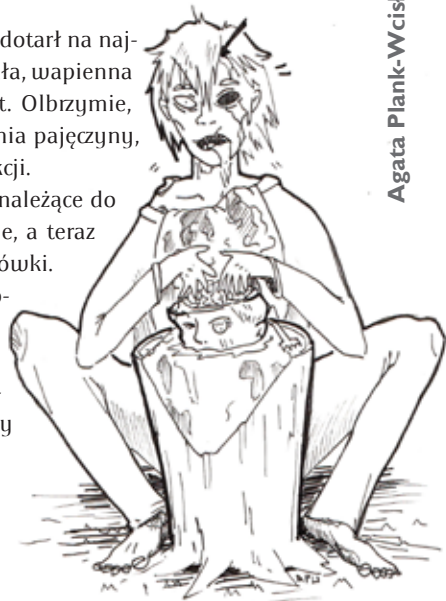
Nie mógł oczywiście wiedzieć, iż przedstawiciele jego gatunku byli kiedyś protoplastami życia na tej planecie. Zresztą nie interesowało go to – chciał tylko znaleźć odpowiednie miejsce, by podobnie jak od milionów lat jego przodkowie zrobić pułapkę na latające stworzenia, którymi się żywił.

Mozolnie podążał ścieżką wśród zieleni, aż w końcu dotarł na najwyższe wzniesienie na wyspie. Znajdowały się tam biała, wapienna skała, jak również dziwny, nieznanany pająkowi kształt. Olbrzymie, białe kości nadawały się jednak idealnie do zawieszenia pajęczyny, rozpoczął więc mozolny proces budowy całej konstrukcji.

Białe nici połączyły kości ramienia, żebra i piszczel, należące do stworzenia, które niegdyś dominowało na tej planecie, a teraz leżało skurczone pod skałą, ogryzione do cna przez mrówki.

Kiedy pajęczyna była gotowa, ośmionogi stawonóg ulokował się w samym jej środku. Oczekiwał na pierwszą ofiarę, która wplącze się w lepki nić.

Palec szkieletu spowity pajęczyną, opierał się o skałę w miejscu, gdzie kończył się rdzawy napis, wykonany krwią: z prochu powstałeś, w proch się obr...





JEAN-FRANÇOIS

NOWA ERA

Czerwony Karzeł 1 (18) 2015

*dedykowane pamięci Jorge Luisa Borgesa
– autora noweli „Trzy wersje Judasza”*

Długą chwilę ciszy, która zdawała się wypełniać renesansową komnatę bardziej materialnie niż niezliczone dzieła sztuki, przerwał cichy głos mizernego starca w białej szacie.

– Czy jesteś tego całkowicie pewien, ojcze profesorze?

Brodaty mnich podniósł na wpół widzące oczy znad notatek i powtórzył z mocą głębokiego przekonania, acz lekko łamiącym się głosem

– Tak, Wasza Świątobliwość. Długo analizowałem wszystkie te zapisy, więc – choć do prawdy wolałbym w ogóle się nie urodzić – nie mam już cienia wątpliwości. Obaj zresztą jesteśmy teologami; wiem więc, iż przeanalizowane wyniki tych badań musiały i ciebie, Ojcie Świąty, przekonać...

Biały starzec ukrył twarz w dłoniach. Ale raczej swemu rozmówcy przyznał po nieco krótszej przerwie.

– Więc nasi starsi bracia w wierze mieli rację. Więc istnieje tylko jeden Testament. Więc słusznie czekali. I oto właśnie doczekali się!

Mnich dopowiedział ponuro

– I będzie to tylko **ich** Mesjasz. I raczej nie liczymy na żadne Kazanie na Górze. Pamiętamy bowiem, że narodził się On zaledwie siedem dekad po Shoah...

Ramionami przywódcy religijnego wstrząsnął dreszcz, lecz jego słowa zabrzmiały ostro i wyraźnie.

– ...który wybranemu Przezeń narodowi zgotował mój naród.

Brodacz w habicie wstał i położył swą potężną dłoń na ramieniu papieża,

– Pozostałe pogańskie narody – czyli *de facto* i moi rodacy oraz przytłaczająca większość populacji na tej planecie – też nie będą miały szczególnych powodów, by czuć się lepiej.

Odpowiedział mu szept.

– Pocieszenia nie na wiele się zdadzą.

Brodaty olbrzym zachnął się z lekka.

– Ani mi dziś w głowie pocieszenie kogokolwiek, nawet Waszej Świątobliwości! Stwierdzam po prostu fakt, że przez wieki analizowaliśmy nie tę księgę – i dlatego o Tym, Który od niedawna zszedł na ziemię, nie wiemy praktycznie nic. Także i tego, jak zechce potraktować tych, którzy w ogóle Nań nie czekali...

Siedzący w fotelu starzec podniósł wzrok.

– A tak szczegółowo, z ciekawości: kiedy i gdzie przyszedł On na świat?

– Co do miejsca – nijak nie udało mi się go ustalić. Co do daty – wszystkie moje obliczenia wskazują na 21 grudnia 2012 roku.

Siedzący w fotelu dostojnik wyprostował się.

– Nie ma to właściwie znaczenia. Można rzec, że licznik i tak już bije – cokolwiek będzie to dla nas oznaczać. Lecz brak mi sił, by ogłosić coś takiego nie tylko *Urbi et Orbi*, ale nawet najbliższym współpracownikom. Składam swój urząd! Jak najszybciej; myślę, że do końca lutego.



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

METAFIZYCZNY KOLAPS CYWILIZACJI.

WIZJE APOKALIPSY W WYBRANYCH UTWORACH WSPÓŁCZESNEJ
POLSKIEJ FANTASTYKI

Ten nieco bombastyczny i patetyczny tytuł poniższego felietonu maskuje poniekąd moje problemy z bardziej komunikatywnym zakreśleniem tematyki zamierzonego tekstu. Nie przypadkowo sięgam także po formę felietonu, mimo że sprawie, o której chciałbym napisać, wypadaloby poświęcić artykuł o znacznie cięższym wymiarze gatunkowym. Nie jestem jednak pewien, czy podołałbym esejowi, że o szkicu nie wspomnę – dlatego stawiam sobie poprzeczkę troszeczkę niżej, żeby wziąć ją z zapasem. Tyle o sobie, a teraz do rzeczy.

Na początek uwaga natury ogólnej: temat 18 numeru CK został ogłoszony w drugiej połowie ubiegłego roku. Tak się jakoś dziwnie potoczyła historia, że w roku 2015 imprez ukierunkowanych postapokaliptycznie w naszym fandomie nie zabraknie. Przede wszystkim tej kwestii ma być poświęcony Festiwal Fantastyki w Nidzicy u Wojtka Sederki, ale i na Pyrkonie podobne wątki też się pojawiają w programie. Apokaliptyczne nastroje napędza z jednej strony nieoczekiwany, przynajmniej dla niektórych, obrót ukraińskiego konfliktu i związane z nim zagrożenia dla europejskiego pokoju. (Nie chcę tu epatować wizjami wojny atomowej, ale przecież i takie groźby, tzn. taktyczne uderzenia jądrowe na wybrane miasta krajów postsowieckich, też się ze strony postradzieckiej Rosji pojawiły). Z drugiej – pierwszy trailer VII epizodu SW: po prostu strach się bać (zwłaszcza świetlnego miecza marki „Grunwald 1410”). Tak czy siak – nie wiedzieliśmy latem ubiegłego roku, jakiego wilka

wywołujemy z lasu, zapowiadając przewodni motywu tego Karzełka.

Ja jednak nie o tym miałem pisać, ale o pewnej tendencji, która pojawiła się w polskiej fantastyce, głównie za sprawą dwójki autorów. Być może zresztą tych twórców znalazłoby się więcej, tyle że tym razem zamierzam się odwołać wyłącznie do dzieł tych dwóch pisarzy.

Zanim przejdę do części egzemplifikacyjnej i przedstawię pierwszego z bohaterów, nakreślę jeszcze ramy moich rozważań. Chcę się zająć apokalipsą metafizyczną – zjawiskiem, które łączy w sobie zarówno cechy religijne, jak i te związane z katastrofą kosmiczną, kresem ludzkiego panowania oraz upadkiem cywilizacji, by odwołać się do systematyki zaproponowanej przez Jana Plata-Przechlewskiego. Jak zatem widać – metafizyczny wymiar kolapsu znanego nam świata ma charakter totalny: w pierwszej kolejności dotyka jego ontologicznych fundamentów (rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się naszym filozofom), a potem niszczy jego materialny byt (zabicie ducha niszczy ciało).

Jako pierwszego wzywam zatem na scenę Tomka Kołodziejczaka i jego cykl *Ostatnia Rzeczpospolita* (zabawna sprawa: podobnie jak z czwartymi SW, które osobny tytuł otrzymały dopiero po nakręceniu *Imperium kontraatakuje*, tak nazwę rzeczonyj serii poznaliśmy niedawno, kiedy się okazało, że w jej skład wejdą nie tylko dwa zbiory opowiadań, ale także kilkutomowa powieść; o związanej z tym zmianie szaty graficznej okładek nawet nie wspomnę). Jest to



przykład częstej współcześnie komiksopochodnej praktyki crossoveringowej (straszne to słowo, ale w polszczyźnie nie ma jeszcze własnego odpowiednika), polegającej na tym, że dzieło pozbawione jest jakichkolwiek ram stylistycznych czy wręcz gatunkowych, rozwija się swobodnie i bez ograniczeń sięga do arsenału środków charakterystycznych dla różnych odmian fantazjowania. Stąd mówienie o tym cyklu, że to fantasy, jest lekkim nadużyciem, a utwory tego typu najwygodniej jest klasyfikować po prostu jako fantastykę.

Metafizycznego wymiaru *Ostatniej Rzplitej* wiąże się z siłami, które dokonały inwazji na Ziemię. Nie były nimi hordy Putina, Państwo Islamskie, ani nawet starzy poczcwiw Marsjanie, ale... demony z niedostępnego ludziom wymiaru rzeczywistości. Nieprzypadkowo też ich uderzenie największe sukcesy odniosło w krajach całkowicie zeświecczonej Europy Zachodniej (i terenach Azji, ze szczególnym uwzględnieniem Rosji postradzieckiej). Przeciwnicy rodzaju ludzkiego reprezentują bowiem ucieleśnienie absolutnego Zła. Ich celem jest totalne podporządkowanie sobie wszystkich istot Wszechświata. Walczyć z nimi

można, wykorzystując jedynie moc tkwiącą w najjaśniejszych pokładach ludzkiego serca, w sposób zaś szczególnie – odwołując się do uczuć religijnych. Żeby jednak nie było tak ortodoksyj-

nie: żarliwa wiara nie wydaje się konieczna (niektórzy bohaterowie postępują tak, jakby Dekalog mieli w głębokim poważaniu), wystarcza samo przywiązanie do obrzędów, aura najmniejszych nawet sakraliów (kapliczki, przydrożne krzyże, różańce, otaczane szacunkiem gatunki drzew) czy wywołujących wzruszenie symboli, stworzeń, roślin. Już samo to okazuje się skuteczną barierą przeciw mocy balrogów. Kto nie kieruje się w życiu wyłącznie chłodną kalkulacją i egoizmem, kogo stać na porwywy serca, potrafi się oprzeć ubezwłasnowolniającemu jadowi Czarnych. Ale nie dają one całkowitego immunitetu: nawet najdrobniejsza wyrządzona przed laty krzywda czy samo rozmyślanie na jej temat może być zaproszeniem dla Zła. Zarażeni nim stają się zaś rozsądnymi mocy Czarnych we względnie bezpiecznej Rzeczpospolitej.

Mimo wymuszonego wojną wzmożenia religijnych praktyk, postawa kleru i Kościoła katolickiego nie jest jednak w świecie powieści jednoznaczna. Co prawda przybyłe za balrogami na Ziemię elfy – istoty światłości toczące z nimi bój we wszystkich zakątkach Wszechświata – poznawszy Objawienie, przyjmują chrzest, to jednak wielu księży ma poważne wątpliwości, czy można wykorzystywać ceremonie religijne do uprawiania... czarów. Wojna toczona z balrogami nosi bowiem wszelkie znamiona magiomachii, a klęćcia i litanie znacznie zwiększają zarówno skuteczność analogowych rodzajów broni (tu się kłania oczywiście Amber Żelazny'ego). Co więcej: do przeczarowywania oręża służą nie tylko chrześcijańskie ceremonie, ale również pogańskie rytuały i utensylia. Czy można się dziwić, że nie wszyscy wyznawcy Chrystusa w świecie *Ostatniej Rzplitej* godzą się z tym, by cel uświęcał stosowanie niegodnych środków...

Agata Plank-Wcisłowska





Rzeczywistość opisana w cyklu Kołodziejczaka, ulegając wpływowi sił nie z naszego świata, okazała się nagle obca i nierozpoznawalna. Przede wszystkim wymogła na jej mieszkańcach zaakceptowanie tego, że Wszechświat ma budowę znacznie bardziej skomplikowaną (wspomniane plany, do których można dotrzeć po przeprowadzeniu odpowiednich rytuałów, przypominają strukturę świata z Moorcockowskiego uniwersum Wiecznego Wojownika), a transcendencja stanowi element niezbędny do jego zrozumienia. Co więcej – w rzeczywistości zakłóconych oddziaływaniem magii balrogów praw fizyki, to właśnie metafizyczne fenomeny stabilizują nieciągłą przestrzeń i pozwalają funkcjonować zaawansowanym urządzeniom technicznym. Zabobon przestał być pogardzaną wadą, bo w pewnych sytuacjach potrafi uratować życie. Nie można także powiedzieć, że Ziemia cofnęła się w rozwoju – musiała jednak zmienić nieco jego wektor i uwzględnić nowe warunki brzegowe. Nawet jednak w tak mało komfortowych realiach otrzymała ludzkość możliwość eksploracji nowych światów, do których nie można było dotrzeć w konwencjonalny sposób.

Książki Kołodziejczaka nie są jednak ani apologią chrześcijaństwa, ani nawet szerzej – wiary w rzeczywistość nadprzyrodzoną, choć sytuacja, w której do prawidłowego funkcjonowania świata niezbędny jest jego ukryty przed intelektem wymiar, nosi znamiona religijne. Ludzkość, która odrzuciła transcendencję, została zdziśiatkowana przez siły, które w myśl jej racjonalnych i postoświeceniowych przekonań nie mają prawa istnieć. Oprzeć się im potrafiła przywiązana do tradycyjnych wartości i obrzędów Polska (nawiasem mówiąc: ciekawe, jak długo jeszcze Polacy tak masowo będą to przywiązanie

manifestować, bo ostatnie posunięcia rządu, parlamentu i prezydenta świadczą, że ktoś chce naszemu społeczeństwu brutalnie wybić je z głowy – czyżby balrogowie zainstalowali już nad Wisłą swoich agentów), a także parę innych krajów, których postępująca laicyzacja nie zepchnęła jeszcze w odmęty antyreligijnego obłądu. Wszystkie te uwarunkowania wykorzystuje jednak autor do wymyślania technomagicznych gadżetów, zabawy *starymi zakłęciami ludzkości* i budowania barwnych fabuł. Wspominałem już o komiksowej proveniencji tego typu historii – ten cykl ma w sobie znacznie więcej z komiksu niż tylko sposób konstruowania świata i opowieści. Kto się obawia, że z każdej strony będzie się niesło wołanie *Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię*, może być spokojny – to nie są utwory z misją, poza jedną może – dobrej zabawy dla czytelnika.

Bohaterem numer dwa jest Paweł Majka i jego *Pokój światów* (tak jak wspominałem w recenzji na łamach „Informatora GKF” – tytuł ten jest nawiązaniem, przez odwrócenie, do Wellsowskiej *Wojny światów*). Na Ziemi trwa właśnie I wojna światowa, ale ponieważ nieszczęścia lubią chodzić parami – wplątują się w nią jeszcze... Marsjanie. Przybysze z Czerwonej Planety mają sprawdzony sposób podboju światów: wykorzystują do tego wynalazek własnej produkcji – mitbomby. Stanowią one swego rodzaju katalizator wierzeń mieszkańców podbijanych światów, który pozwala tworzyć bóstwa będące emanacją ich mitów, legend czy po prostu tęsknot. Produkowanie bożków ma na celu korzystanie z emocji ich wynawców – Marsjanie znaleźli bowiem sposób zamieniania energii wiary w jej bardziej użyteczne postaci. Wszędzie, dokąd dotarli, taktyka ta przynosiła założone skutki: potraktowane protobogiem (tak nazywała



się substancja czynna mitbomb) zbiorowości wykształcały własne bóstwa i zamiast bronić się przed najeźdźcą – przyłączały się do niego. Tymczasem na Ziemi sprawy potoczyły się zupełnie inaczej.

Postawieni w obliczu agresji Ziemianie postanowili się bronić, na dodatek mitbombami zamiast wyzwolić dodatkową energię wiary, doprowadziły raczej do jej rozproszenia, bo ludzie okazali się egoistyczni i próżni, bardziej zainteresowani zabezpieczeniem własnych interesów niż współtworzeniem większego dobra. Marsjanie tę wojnę

przegrali, nie zostali co prawda całkowicie zniszczeni, ale nie mogli opuścić Ziemi. Raz, że stracili statki, na których przylecieli, dwa – ich niedobitki pozostały na naszej planecie, by nie dopuścić do ponownego wejścia ludzkości na ścieżkę szybkiego rozwoju technologicznego. Obawiali się oni po prostu, że Ziemianie zjawią się na Czerwonej Planecie, by odpłacić jej mieszkańcom pięknym za nadobne (pamiętacie *Podniebną krucjatę* Paula Andersona?).

Wracam jednak do rzeczy. Wydana na działanie protoboga ludzkość doświadcza niemal tego samego, co bohaterowie *Ostatniej*

Rzeczpospolitej: zetknięcia z rzeczywistością nadprzyrodzoną, której istnienia nie dopuszczała do świadomości. Metafizyczna apokalipsa w *Pokoju światów* ma trochę inny wymiar niż w cyklu Kołodziejczaka. Marsjanie nie przybyli na Ziemię, by wymordować czy zniewolić jej mieszkańców, ale włączyć ich do rozrastającej się wspólnoty wiernych (lokalne bóstwa, jak w starożytnym Rzymie, poszerzały marsjański panteon). Nie występuje więc bezpośrednie zagrożenie życia Ziemian, choć zdarza się, że w przebóstwionym świecie dochodzi do masowych zbrodni. Przywołane na Ziemię bóstwa czy inni legendarni bohaterowie (w tym bohaterowie ówczesnej popkultury) mają za zadanie bronić swoich stwórców (najczęściej są nimi niewielkie społeczności), z którego to zadania

Agata Plank-Wcisłowska





wywiązują się najlepiej jak potrafią (dysponują przecież ponadludzkimi mocami). Rzecz jednak w tym, że bogowie i herosi produkowani są nagminnie – to właśnie jeden z powodów, dla których Marsjanie ponieśli klęskę.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest, jak sądzę, ludzka natura: jesteśmy istotami zabobonnymi i wbrew deklaracjom (czy to o wyznawaniu światopoglądu oświeceniowego czy religijnego), mając szansę zapewnienia sobie powodzenia w kartach i miłości, gotowi byłibyśmy zrezygnować z deklarowanych wartości i chętnie podpisalibyśmy cyrograf z kimkolwiek, kto by nam to obiecał. Mitbomby zaś taką możliwość, w pewnym sensie, przed mieszkańcami Ziemi otworzyły i wielu chętnie z niej skorzystało.

Możliwości protoboga nie są jednak nieograniczone i na swoje potrzeby nie da się przywołać każdej istoty wyższej. Mimo prób nie udało się na przykład ponownie sprowadzić na Ziemię Chrystusa, choć niektórych bożków i dawno zmarłych ludzi „wskrzyszono”. Można to niepowodzenie traktować jako pośredni dowód na prawdziwość chrześcijaństwa – Bóg nie jest ludzkim wytworem, a bytem od człowieka niezależnym i nie pozwala się kształtować według ludzkiego widzimisię. Jednak zaludnianie świata przez przywracanie do życia nieboszczyków (echa kultury wampiro-zombifikacyjnej jak sądzę) ma swoje złe strony: Ziemia ewidentnie umiera – skoro można ożywić każdego zmarłego (oczywiście – potrzebna jest do tego odpowiednia siła wiary i ofiara), ludzie

wydatkują swoją energię, by przywracać do życia ukochane osoby. Efekt jest zaś taki, że nie do końca wiadomo czy ludzie napotkani w tym świecie żyją naprawdę, czy powrócili na Ziemię z zaświatów.

Trwonienie życia na oddawanie się nekrofilskim praktykom to jedno, ale mitbomby mają jeszcze inny uboczny skutek. Oto pewien rodzaj intelektu i wolnej woli uzyskują z jednej strony obszary otoczone swego rodzaju czcią: Wiekuista Puszcza (na skraju Rzeczypospolitej) czy Matka Tajga (Syberia), z drugiej... systemy polityczne (Wieczna Rewolucja, Republika Narodów), a nawet korporacje handlowe (Hanza, Koleje Galicyjskie). Ziemia stała się więc miejscem zwykłym ludziom mało przyjaznym – dybią na nich wspierani przez demony bliźni, a także agenci panoszących się wszędzie idei. Świat poddany oddziaływaniu metafizycznych zjawisk pogrąża się w chaosie i zmierzcha do zagłady. Wizja Majki niewiele się zatem różni od obrazu rzeczywistości zaprezentowanego przez Kołodziejczaka. Trzeba jednak wprowadzić ważne rozróżnienie: w świecie *Ostatniej Rzeczypospolitej* Ziemia jest ewidentną ofiarą nadnaturalnej inwazji; w powieści Majki to ludzie sami siebie unicestwiają. Czy uda się obu tym cywilizacjom uniknąć ostateczności – dowiemy się zapewne w kolejnych odsłonach powieściowych cykli. Tylko czy można liczyć na *happy end*, gdy wróg ma niemal nieograniczone możliwości, a ludzka natura jest w porównaniu z nim marnością?

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

CZKAWKA

Ostatni Człowiek na Ziemi dostał czkawki.
— Ktoś mnie wspomina — pomyślał.



LUIZA DOBRZYŃSKA

ALLEGRO VIVACE

Kiedy w aktach Allegrы zaznaczono dzień 10 kwietnia 21 roku Nowej Ery, dopisano Kobok sentencji wyroku dwa znamienne, straszliwe słowa: zamknięcie permanentne. To był koniec jej życia jako Obywatelki. Od tego dnia miała być Zesłanką, podległą innym prawom i zapomnianą przez społeczeństwo żyjące pod słońcem planety Ziemia. Popełniła zbrodnię przeciw Kodeksowi Obywatelskiemu i nie było dla niej wybaczenia.

Dopiero kilka dekad temu ludzie opuścili schrony, gdy radiacja na powierzchni spadła do poziomu określonego przez naukowców jako bezpieczny. Czekał na nich straszliwie zniszczony świat i jego nowi władcy, dysponujący nieprawdopodobną siłą. Na dobrą sprawę nikt nie wiedział, kim byli. Jedni szeptali, że to przybysze z obcej planety, którzy postanowili pomóc Ziemianom, inni twierdzili, że to po prostu naukowcy z jakiejś rządowej agencji. Kimkolwiek byli, w ich rękach pozostawała potężna broń orbitalna, wszystkie siły zbrojne i dzięki nim sprawowali władzę absolutną nad niedobitkami mieszkańców państw, ocalałych z zagłady jądrowej – to znaczy pierwszego uderzenia tej wojny.

Trzeba przyznać, że wiedzieli co robią. Zorganizowali ciężko doświadczonych, a często też zdemoralizowanych przez wojnę ludzi, narzucili im sztywny Kodeks regulujący wszystkie dziedziny życia i bardzo szybko przywrócili porządek. Nakazali otworzenie szkół i urzędów, a przede wszystkim odbudowę. Ziemska infrastruktura była w dużej części zniszczona, wiele obszarów skażonych. A żeby cokolwiek odbudować, potrzebni są architekci, którzy nie rodzą się przecież ze swoją wiedzą. Muszą się uczyć. Tak jak Allegra, najlepsza studentka z reaktywowanej po wojnie Australijskiej Nowej Politechniki. Nie mogła pamiętać okropnej, globalnej zawieruchy, która kosztowała życie trzech czwartych mieszkańców planety, ani powojennego bezhołowania – może właśnie dlatego od dziecka była zbuntowana. Oczekiwano jednak, że z wiekiem zrozumie, jak ważne dla przyszłych pokoleń jest utrzymanie porządku i spokoju, zwłaszcza że jej inteligencja i talenty były bardzo cenne. Niestety, zawiódła pokładane w niej nadzieje.

* * *

Ubrana w czerwony kombinezon skazańca, ściskając w dłoniach przyczynę swego nieszczęścia, dowód hańby, Allegra kuliła się między kilkunastoma innymi Zesłańcami. Wszyscy oprócz niej byli mężczyznami, ponurymi, bladymi i milczącymi. Wszyscy nie do końca wydobyli po obowiązkowej dla Zesłańców płci męskiej operacji, likwidującej raz na zawsze popęd seksualny. Było to konieczne, gdyż skazanie kobiety na tak ciężką karę stanowiło rzadkość i normalne życie erotyczne stawało się w Podziemiach niemożliwe. Jak mawiano półzartem, kobiety były zbyt mądre, by popełniać najgorsze przestępstwa, a w każdym razie nie dawały się na tym przyłapać. Coś w tym było, nie dotyczyło to jednak Allegrы.

Była nieostrożna. A przecież tak starannie ją wychowywano, przygotowywano do roli jednego z architektów współczesnego świata...



Wrócono jej wielką przyszłość, zdolności artystyczne mogły przecież zostać przekute nażytek dla społeczeństwa. Nie wolno było ich lekkomyślnie marnować, była to zbrodnia przeciw ludzkości. Jednak Allegra nie doceniła otwierających się przed nią pięknych perspektyw. Pulsująca w niej tęsknota pchnęła ją na drogę przestępstwa – drogę, z której nie było już odwrotu. I teraz stała tu, drobna, skulona i nieszczęśliwa, przytłoczona ciężarem swej winy. Usiłowała skryć się pod płaszczem wspaniałych włosów, stanowiących najmocniejszy atut jej urody, która już nigdy nie miała wzbudzić niczyjego pożądania.

Za mechanicznej bariery wyłoniła się nagle znajoma postać – Alec, jej adwokat, postawny mężczyzna w drogim garniturze, przystojny i pełen godności. Widziała, jak rozmawia ze strażnikami i pokazuje im coś, pewnie przepustkę. Potem podszedł do niej.

– Wybacz mi, Allegra – powiedział, biorąc jej małą dłoń w swoje ręce. Podczas przewodu sądowego zaprzyjaźnili się. Było to nieprofesjonalne ze strony adwokata, nie mógł się jednak oprzeć poczuciu sympatii dla wątłej dziewczyny o na wpół dziecinnej twarzy, zwłaszcza że na co dzień bronił zatwardziałych kryminalistów, od których należało trzymać się jak najdalej.

– Zrobiłeś, co mogłeś – odpowiedziała mu zrezygnowanym głosem.

– Przyniosłem ci coś na pożegnanie – podał jej podłużne, czarne pudełko z glansowanego kartonu – Zapasowe struny do altówki, kamerton, kalafonia i kołki na wymianę.

Podniosła na niego swe brązowe oczy, niepomiernie zdziwiona.

– Skąd to wzięłeś?

– Ukradłem z zamkniętego muzeum – odparł poważnie – Mam znajomego kustosa. Przyda ci się tam, na dole.

Allegra starała się opanować, ale po jej bladych policzkach





potoczyły się łzy. Alec był jedynym, który okazał jej zrozumienie podczas tych strasznych miesięcy, gdy obradowano co z nią zrobić. Odnosiła wrażenie że ten mężczyzna, będący z samego założenia bezwzględnie wiernym sługą obowiązującego systemu, nie tylko ją rozumie, ale nawet – co było tym bardziej niezwykłe – popiera jej pasję. Tę samą, która zaprowadziła ją na ławę oskarżonych. Allegra nie miała nawet do nikogo pretensji. Dobrze wiedziała, że sama ściągnęła na siebie nieszczęście, choć pewnie przed Wielką Wojną nikt nie rozumiałaby, o co właściwie ją oskarżono. Jakże żałowała, że nie było jej dane żyć w czasach, w którym mogłaby bez przeszkód realizować swoją największą pasję...

* * *

W epoce NE, która nastąpiła po Ciemnych Wiekach Wielkiej Agresji, najważniejszą rzeczą stała się ścisła regulacja prawna prawie wszystkich aspektów życia. Największą zbrodnią, a w każdym razie jedną z najcięższych, było teraz oddziaływanie na emocje. Ponieważ zaś obecni władcy planety – kimkolwiek byli – określili muzykę jako najpotężniejsze medium wpływające na ludzkie uczucia, stała się ona zabroniona. Wciąż pamiętano, że to *Marsylianka* rozpałała serca Francuzów tak bardzo, że aż doszło do Wielkiej Rewolucji, a staranniejsze badania wykazały, że każdej wojnie towarzyszyła jej własna pieśń, infekująca umysły niczym wirus. Drugi wyciągnięty przez naukowców wniosek powodował jeszcze boleśniejsze implikacje, związek religii z muzyką był bowiem oczywisty i dla dobra ludzkości należało przeciąć ten węzeł gordyjski, nim będzie za późno. Wielki plan opracowano i wdrożono wszędzie, nawet tam, gdzie ludzie spontanicznie organizowali się w ruch oporu przeciw wprowadzeniu nowego porządku i gotowi byli zginąć razem ze swymi rodzinami w obronie dawnych wartości.

Przez lata walczono z ludzkim nawykiem słuchania i tworzenia muzyki, aż wreszcie, wobec braku większych efektów, sięgnięto do drastycznych rozwiązań prawnych. Dopiero wtedy glob ziemski zaczął przycichać i wreszcie stał się oząą spokoju, w której nie zakłócało spokoju grające radio czy odtwarzacz. Brahms, Beethoven, Grieg, Czajkowski, Copin – to były dziś nazwiska oznaczające groźnych wywrotowców, działających na szkodę współczesnych im ludzi. Instrumenty muzyczne stały się niedostępne w legalnym handlu, tu jednak istniał problem. Niektóre można było spozrydzić, inne po prostu znaleźć. Kiedyś, na początku wojny, ludzie zakochani w muzyce poukrywali je tak starannie, że do dziś nie wszystkie odnaleziono. Władze szacowały nawet, że dotąd zniszczono nie więcej jak 20% ich stanu, mimo szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej.

Swoją altówkę Allegra znalazła w jakichś ruinach. Kiedyś musiała to być siedziba dawnego potentata, a może gmach rządowy. Dzisiaj już nikt tego nie wiedział, archiwa zostały zniszczone w czasie trwającego całe osiem lat globalnego konfliktu. Ci, którzy przeżyli, musieli zacząć pisać historię swej rasy właściwie od zera. Jak na ironię – technologia w większości ocalała, choć linie produkcyjne i schematy często trzeba było tworzyć na nowo. Uratowany z zagłady spizęty był jednak bezcenny. Podobnie bezcenne były ludzkie uzdolnienia, które starano się jak najmądrzej wykorzystywać. Każdy nastolatek musiał stawić się na specjalnej komisji, która określała jego uzdolnienia i dawała skierowanie



do odpowiedniego wydziału – lub od razu do pracy, jeśli inteligencja młodego człowieka była poniżej zakładanego poziomu.

Allegra była, z uwagi na uzdolnienia matematyczne i artystyczne, przyszłym architektem. Tego dnia miała wykonać serię rysunków z uwzględnieniem elementów nośnych, a podczas tej pracy, sama nie wiedząc jak, zawędrowała do piwnic pod zrujnowanym gmachem. Tam właśnie znalazła naoliwione pudło, a w nim zachwycający optywowymi liniami przedmiot. Początkowo chciała postąpić tak, jak każdy uczciwy obywatel – odnieść niebezpieczne narzędzie na policję – jednak łagodne krzywizny instrumentu oczarowały ją i nie mogła się im oprzeć. W pudle oprócz instrumentu ukryty był również drukowany na pozółkłym ze starości papierze podręcznik, samouczek gry na skrzypcach i wprowadzenie do podstaw zapisu nutowego. Wszystko razem musiało mieć sto lub nawet dwieście lat. Z ciekawości dziewczyna zaczęła przeglądać podręcznik, choć dobrze wiedziała, że nie powinna tego robić. Oprócz niej w ruinach nie było nikogo, a ona znajdowała się pod ziemią, w lochach, o których mało kto wiedział. Mogła pozwolić sobie na niezobowiązujące wypróbowanie tego dziwnego przedmiotu. Tak przynajmniej myślała.

Od momentu, gdy pierwszy raz przeciągnęła smyczkiem pod strunach, wydobywając z nich jęklivy dźwięk, poczuła nieznane dreszcze gdzieś w środku. To było niezwykle uczucie, które w kilka sekund sprawiło, że zapomniała o wszystkim. Patząc w zakazaną książkę, cierpliwie próbowała ustawienia palców na strunach i ruchów smyczka, upajając się wydobywanymi dźwiękami. Zupełnie przy tym zapomniała, po co właściwie tu jest.

Ukryła altówkę starannie. Wiedziała, że będzie często tu wracać. Nie musiała obawiać się, że ktoś ją znajdzie lub że przez resztki gmachu przejadą maszyny burzące. Te ruiny stanowiły Pomnik Czasów. Nikt tu nie przychodził, jedynie kandydaci na architektów, a i to tylko w wyznaczonych dniach. Mogła więc czuć się względnie bezpieczna, gdy godzinami ćwiczyła w katakumbach akordy i układała z nich coś zakazanego, coś równie niebezpiecznego jak broń masowego rażenia – muzykę. Któregoś dnia się jednak przerachowała. Ktoś ją usłyszał i doniósł na policję, która zorganizowała zasadzkę. Została przyłapaną na gorącym uczynku. Myślała, że ojciec, dość ważny urzędnik, pomoże jej, ale on nawet się z nią nie skontaktował. Odwrócili się od niej wszyscy oprócz przydzielonego obrońcy, który jednak miał związane ręce. Może byłyby jakieś szanse na łagodniejszy wyrok gdyby nie wciąż świeża pamięć o zamachu na Prezydenta Zjednoczonej Planety i całą Wielką Radę – w sterowcu, którym lecieli na ważne spotkanie, niewykryty aż do dziś sprawca podłożył pluskwę dźwiękową. Podczas lotu zaczęła ona emitować stare nagranie muzyki organowej, która tak otumaniało pilotów, że przy podchodzeniu do lądowania zbczyli z toru lotu o prawie dwadzieścia pięć metrów i roztrzaskali maszynę o słup transmisyjny. Trudno było więc liczyć na to, że po takiej tragedii Sąd Planetarny okaże wyrozumiałość zuchwałej anarchistce. Dziewczynę zabrano najpierw do Centrum Sądownictwa, a potem wywieziono do Ośrodka Penitencjarnego. Stamtąd droga wiodła już tylko w dół, w szyby nieczynnych od dawna kopalń, zamienionych na zakłady przetwarzania surowców wtórnych. Podziemne obozy pracy przymusowej, kierujące się własnymi zasadami. Nie było stamtąd powrotu nawet po śmierci. Ktoś skazany na Zestanie zniknął z powierzchni Ziemi i nigdy więcej j nim nie słyszano.



* * *

— Zesłańcy mają wejść do windy! — z zamyślenia wyrwał Allegrę ostry głos koordynatora. Przycisnęła mocniej do siebie skrzypce, rzuciła ostatnie pożegnalne spojrzenie na Aleca i pospieszyła za towarzyszami niedoli. Wszyscy milczeli, nie ufając sobie nawzajem i nie mając dość siły na rozmowę. Ciężkie przejścia i lekarska interwencja pozbawiły ich energii, stłoczyli się posłusznie w windzie, mającej zwieźć ich w podziemia. Wiedzieli, że nigdy nie opuszczą tego miejsca, stworzonego dla takich wyrzutków społeczeństwa jak oni. Dobrze pamiętali koordynatora, wygłaszającego przemówienie, takie samo jak do wielu grup przed nimi:

— Cieszcie się, że żyjemy w humanitarnych czasach i zamiast zastosować eliminację biologiczną, wysyłamy was do miejsca, które stanie się waszym domem. Tam nie będziecie już mogli szkodzić społeczeństwu, jak czyniliście to dotąd, ale waszemu życiu nie będzie zagrażać nic oprócz waszych kolegów. Wasza praca przyniesie pożytek wszystkim, ale nikogo z praworządnych obywateli nie zdołacie już skrzywdzić.

Czy Zesłańcy byli teraz wdzięczni za ów „humanitaryzm”? Trudno powiedzieć. Nic na to nie wskazywało.

Drobna dziewczyna, wciśnięta w kąt opancerzonej windy, trzęsła się ze strachu i rozpaczy. Hydrauliczne oprzyrządowanie musiało być serwisowane już dawno temu, zgrzytało bowiem i syczało niemiłosiernie. Allegra niemal czuła podmuchy gorącej pary, które musiały owiewać od zewnątrz kabinę dźwigu. Zjazd trwał długo, tak jakby zmierzano zesaść ich aż do płynnego jądra planety i w ten sposób pozbyć się na dobre. W końcu jednak dźwig stanął i jego drzwi ponownie się rozsunęły.

Zesłańcy znaleźli się w szerokim korytarzu, wykutym w skałach i oświetlonym lampami solarystycznymi, pracującymi w przedziale spektrum światła słonecznego. Ten wynalazek, opracowany kiedyś by chronić ludzi przed ślepotą, świetnie sprawdzał się w oświetlaniu podziemnego świata Zesłańców.

— Wysiadajcie, chłopcy! — zawołał operator dźwigu, stary mężczyzna z niechlujną brodą, ubrany w niebieski kombinezon z czerwonym pasem, znak służb inżynierskich — Rozdzielnia kwater i pracy znajduje się pięćdziesiąt metrów stąd, korytarzem w prawo...

Urwał, ujrzawszy Allegrę i otworzył szeroko wypłowiałe ze starości oczy.

— Na Wielkiego Wszechmocnego, a ty tu skąd, dziecinko?

— Nie jestem dzieckiem. Zostałam skazana podobnie jak oni — bąknęła Allegra, spuszczając głowę i kuląc się w sobie jak skarcone szczenię. Znowu poczuła łzy w oczach i miała ochotę rozpłakać się jak kiedyś, gdy była mała i rozbiła sobie kolano, brykając z koleżankami.

— Nie bądź taka wystraszona. Tutaj ludzie też żyją, choć prawdę mówiąc, to nie miejsce dla takich jak ty. Za co cię zesłali?

Operator podszedł, objął dziewczynę opiekuńczo i posadził na swoim kiześle. Podsunął jej blaszany kubek z wodą. Allegra napiła się łąpczywie.

— Ja... ja grałam na skrzypcach.

— A skąd ty je, u licha, wzięłaś?



— Znalazłam w ruinach. To znaczy... ja zgubiłam kolczyk rysując szczegóły konstrukcyjne, przeszukiwałam wszystko i przypadkiem znalazłam zejście do piwnic, a tam było to.

Pokazała staremu mężczyźnie swój skarb, zawinięty w szmatkę. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

— I co?

— Nic. Nauczyłam się grać z samouczka i chyba nie mogłam już bez tego żyć. Kochałam to... nadal kocham, choć muzyka zniszczyła mi życie. Myślałam, że uda mi się to robić tak, by nikt nie słyszał, ale nie byłam wystarczająco dyskretna.

Operator zniecka pogłodził ją po głowie. Wyglądała na poważnie zmartwionego.

I jak taka kruszyna da sobie radę z pracą w złomowni? Trzeba będzie cię dać do działu napraw, tam nie będziesz musiała dźwigać. A na razie chodź ze mną, kogoś ci przedstawię. Tak przy okazji: nazywam się Tom.

— Ja jestem Allegra.

— Ładnie.

Tom zaprowadził Allegrę do swego mieszkania, jaskini umebrowanej sprzętami produkcji Zesłańców. Jak wyjaśnił po drodze, mieszkańcy podziemi odnawiali stare sprzęty, trafiające tu z powierzchni, lub robili nowe ze złomu. Musieli, gdyż koordynatorzy ze świata pod-słonecznego zapewniali dostawę tylko tego, co było naprawdę niezbędne – jedzenia, leków...

— Wodę mamy właśną, z cieków podziemnych, czystą jak kryształ.

— A... co z toaletami? — odważyła się spytać Allegra.

— Mamy i to, nie bój się. Odzyskujemy z odchodów składniki przydatne do nawożenia roślin w inspektach. Dział chemii się tym zajmuje. Wszystko się tu przydaje, nic nie może się zmarnować.

Dźwięki muzyki przerwały im rozmowę. Dziewczyna zamarła, oczarowana. Dopiero

Agata Plank-Wcisłowska





teraz poczuła na dobre, że naprawdę trafiła do innego świata. Ktoś niedaleko nich grał na jakimś instrumencie, zupełnie innym niż jej altówka. Miękkie, a jednocześnie mocne i głębokie tony docierały do samego dna duszy. Zaszuchana nie zauważyła nawet, że po jej policzkach płyną strumienie łez, póki Tom nie dotknął łagodnie jej ramienia.

— To Emil tak gra — powiedział — Właśnie jego chcę ci przedstawić. Jest historykiem i został zesłany za próbę rozpowszechniania zakazanych prawd. Nudził się tu, więc po pracy zaczął rozpracowywać znaleziony wśród złomu instrument, zbiegiem okoliczności cały.

— A co to za instrument?

— Harmonia guzikowa. Akordeon.

— Nigdy o takim nie słyszałam.

— Oczywiście, że nie – bo skąd. Podoba ci się?

— Cudowne.

Operator poklepał ją po plecach i pociągnął za sobą. Minęli kilka mieszkań i skręciwszy za róg chodnika zobaczyli siedzącego przed drzwiami niewielkiej groty młodego bruneta o pociągłej, uduchowionej twarzy. Długie włosy spadały mu na kark i czoło, oczy przesłaniały ciemne okulary. W rękach trzymał coś, co przypominało pofałdowane pudło ze skóry, zaopatrzone w okrągłe przyciski po obu stronach. Naciskał je palcami obu rąk, składając jednocześnie i rozkładając pudło instrumentu. Gdy znieruchomiał, muzyka zamilkła.

— To ty, Tom? — spytał. Głos miał miękki i śpiewny.

— Ta. Ja i ktoś, kto chce cię poznać. Oto Allegra, Zesłanka z dzisiejszego transportu. Skrzypaczka.

— Jak wygląda?

— Emil ośleplł wskutek wypadku — wyjaśnił Tom dziewczynie i zwrócił się do akordeonisty — Ta dziewczyna jest niska i szczupła, ma prześliczne włosy koloru ognia i najpiękniejsze brązowe oczy jakie zdarzyło mi się widzieć.

Niewidomy mężczyzna uśmiechnął się.

— Witaj, Allegro — powiedział, wyciągając rękę — Widzę, że tak samo jak ja trafiłaś tu przez miłość do tego, co zakazane. Twoje imię sprowadziło widać na ciebie nieszczęście... albo szczęście, jak kto woli. Uczyni mi ten zaszczyt i zagraj coś.

— Ooo... ja nie umiem tak ładnie jak ty. Ale spróbuję.

Dziewczyna odwinęła swą altówkę, oparła o brodę, po czym przymknęła oczy i przeciągnęła smyczkiem po strunach. Już pierwsze dźwięki sprawiły, że zapomniała o wszystkim, a jej dusza uniosła się ku słońcu, którego – jak dobrze wiedziała – już nigdy nie zobaczy. Grała jak w transie, wypełniając skaliste korytarze tonami skrzypiec, zawilutymi akordami i skomplikowanymi arabeskami muzycznymi, póki nie zorientowała się, że chyba trwa to zbyt długo. Opuściła smyczek i otworzyła oczy. Wokół niej stali ludzie, głównie mężczyźni, choć było między nimi też kilka kobiet, i wpatrywali się w nią takim wzrokiem, jakim ktoś bardzo głodny patrzyłby na bochenek chleba za szybą. Teraz, gdy skończyła grać, wszyscy zaczęli spontanicznie klaskać, zupełnie tak jakby byli na przemówieniu w jakimś centrum kształcenia społecznego. Spłoszona Allegra spojrzała na Toma. Stary mężczyzna miał łzy w oczach, choć jego zwiędłe usta uśmiechały się.



— Oczarowałaś ich — powiedział, napotkawszy jej wzrok — Niech cię Wielki Wszechmocny błogosławi, dziecko. Jesteś darem z samych niebios dla ludzi, o których zapomniał świat.

* * *

Nie od razu Allegra zrozumiała, jak myślą mieszkańcy podziemia, skazani na separację od społeczeństwa Obywateli i niewolniczą pracę przy przerabianiu surowców wtórnych. Na początku trudno jej było przystosować się do tego ponurego świata i ludzi kierujących się zupełnie innym kodeksem niż „ci na górze”. Czasem miało się wrażenie, że tutaj Kodeks Obywatelski nie obowiązywał w ogóle. W sektorze D, gdzie zamieszkała, było kilku artystów, którzy zupełnie nie kryli się ze swą działalnością. Emil grał na starym akordeonie i robił to całkiem otwarcie, kilku mężczyzn i jedna kobieta zajmowali się po pracy malowaniem obrazów abstrakcyjnych, pewien starzec rzeźbił w kamieniu, którego było pod dostatkiem...

Dwóch poetów deklamowało wieczorami swe wiersze zgromadzonym licznie sąsiadom. Nie było tu żadnych strażników, nie trzeba było obawiać się interwencji policji. Przewyciężywszy początkową nieśmiałość i lęk, Allegra coraz częściej ćwiczyła na swej altówce, a bardzo pomagały jej w tym partytury przyniesione przez Toma z jakiejś tutejszej skrytki.

— Trafiło toto tu z makulaturą — wyjaśnił. — Zatrzymałem wszystko, dla Emila, ale teraz przyda się i tobie.

— Przecież on jest ślepy.

— No to co? Przepisuję mu wszystko na model dotykowy.

Tom wziął kawałek cieniutkiego plastiku, nakreślił na nim ryłcem pięć linii i pewną ręką zaznaczył kilka nut oraz klucz wiolinowy. Odwróciwszy plastik i przesunąwszy po jego powierzchni opuszkami palców, można było bez trudu wyczuć uwypuklony wzór.

— Ty tego, oczywiście, nie potrzebujesz.

Samouczek znaleziony w ruinach dał Allegrze podstawy wiedzy o zapisie nutowym, zaś młody akordeonista uzupełniał teraz jej wiedzę. Czasem nawet grali w duecie, choć było to trudne i musieli dużo ćwiczyć, by się zgrać. Robili to po pracy, ciągnąc czasem swe próby aż do środka miejscowej nocy, ukryci w jednej z dalej położonych jaskiń, by nikomu nie przeszkadzać.

Z racji swej fizycznej słabości młoda studentka została skierowana do sekcji odzysku części działu selekcji. Było to zajęcie relatywnie lżejsze, choć też wymagające wyższej inteligencji i sprawności manualnej. Dział ten leżał też bardzo blisko osiedla, na którym dziewczyna zamieszkała w małej grocie, obok kwatery Toma i niemal drzwi w drzwi z Emilem. Ich bliskość dodawała jej otuchy nawet wtedy, gdy szła do pracy, świadoma, że bez wyrobienia normy nie dostanie swego przydziału żywności. Tu wszyscy musieli pracować, nawet niewidomy akordeonista.

— Masz do dyspozycji cały zestaw instrumentów, za pomocą których określisz, która część jest sprawna i można ją wymontować, która jest zepsuta i da się naprawić, a którą można od razu wizucić do zbiornika ze złomem — tłumaczył jej Leon, szef działu — Uważaj



też na urządzenia półsprawne, to znaczy takie, w których nawalił jakaś mała istotny element. Mogą się nam przydać, gdy go wymienimy i zacznie działać.

Uzdolniona technicznie dziewczyna dość szybko zaczęła radzić sobie z urządzeniami diagnostycznymi, a wkrótce nawet spróbowała sama naprawiać uszkodzone części. Pracujący w dziale elektroniki technicy chętnie udzielali jej wskazówek, ale poza tym mało zwracali na nią uwagę, pochłonięci własną pracą. Bardzo byli też zadowoleni, że nowa koleżanka łatwo się uczy, bo to znaczyło, że nie trzeba jej zbyt uważnie nadzorować. Nie upłynęło wiele czasu, gdy Allegra mogła zostawać na swym stanowisku pracy całkiem sama i dawała sobie radę bez jakichś istotniejszych problemów. Właśnie wtedy któregoś dnia na taśmociągu podjechało do niej coś, co wprawiło ją w nie lada zdumienie.

Leżał przed nią młody mężczyzna w podartym ubraniu, a właściwie... coś, co udawało mężczyznę. Robot. Niezwykle zaawansowany. Pozornie nie różnił się niczym od człowieka, do tego stopnia, że Allegra nacięła ostrożnie jego skórę by przekonać się, czy nie ma czasem do czynienia ze spreparowanymi zwłokami. Jednak pod aksamitną w dotyku powłoką nie było naczyń krwionośnych ani mięśni, tylko plastik, guma i metalowe przewody. Coraz bardziej zdumiona przystąpiła do diagnostyki, starając się postępować tak, jakby miała do czynienia z jakimś delikatnym urządzeniem. Najprościej byłoby zedrzeć tę sztuczną skórę i przekonać się, co jest w środku, ale tego nie chciała robić. W końcu doszła do wniosku że silne źródło światła powinno ukazać wewnętrzne struktury. Takim





źródłem mógł być tylko reflektor talerzowy, używany przy diagnostyce niektórych części. Nie mogła włączyć go na długo, bowiem nagrzawszy się, mógł stopić delikatne tworzywo, ale na wszystko był sposób. Wytężając wszystkie siły, Allegra przepchnęła bezwładnego robota na tarczę reflektora i przygotowała prosty aparat fotograficzny, używany do dokumentacji niektórych prac. Tom mówił na ten przedmiot camera obscura i odnosił się do niego lekceważąco, jak do zabytku muzealnego, ale było ono użyteczne. Dziewczyna włączyła zapłon i lustrzana tarcza reflektora rozbłysła. W powietrzu momentalnie zapachniało rozgrzanym plastikiem. Allegra nacisnęła wyzwalacz aparatu, szybko zmieniła plek-siglasową płytę rejestracyjną i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Zgasiła reflektor, przepchnęła robota w kąt, by nikt go nie znalazł pod jej nieobecność i pobiegła do ciemni.

Zdjęcia okazały się dość dobre, by można było prześledzić wszystko wewnątrz robota. Automatyczna suszarka utrwaliła wywołany obraz i już wkrótce Allegra mogła sobie obejrzeć na spokojnie, co tkwiło pod gładką skórą. Zdjęcia ukazały jej istną abrakadabrę – układankę maleńkich, precyzyjnie dopasowanych części, oplecionych przez przewody, którymi zapewne krążyły płyny hydrauliczne. Nie miała pojęcia na co właściwie patrzy.

— Czym ty jesteś? — spytała bezradnie, spoglądając na ciało robota, nieruchome i ludzako podobne do ludzkiego. Twarz miał może nie tyle piękną, co urzekającą przez klasyczną harmonię nieruchomych rysów i głęboką zieleń matowych oczu. Grzywa ciemnozłotyich włosów spadała na wysokie czoło, częściowo zakrywając lekko wygięte, aksamitne brwi. Sztuczny człowiek miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, był szczupły, o długich kończynach i pięknie wymodelowanych dłoniach oraz stopach. Ktoś, kto go stworzył, musiał być... artystą. Allegra widywała czasem roboty, ale zupełnie niepodobne do tego – kanciaste, nieforemne, zwaliste i tylko z grubsza przypominające ludzką postać. Ten był zupełnie inny.

Uznawszy, że w pojedynkę nic nie wymyśli, postanowiła poprosić o pomoc Toma, który jak zwykle o tej porze dokonywał rutynowego przeglądu konsol w wielkiej rozdzielni, będącej sercem podziemnego kompleksu. To stąd sterowano obiegiem wody i kompresorami, dostarczającymi powietrza do nawet najdalszych jaskiń i korytarzy. Tom dbał ogromnie o tę maszynię i staranności w jej serwisowaniu uczył też swych pomocników.

— To ona sprawia, że żyjemy — mawiał. — Jeśli któregoś dnia stanie, pozdychamy tu jak szcury, nim ktokolwiek na górze zainteresuje się tym, co się z nami dzieje.

Teraz stary mechanik miał właśnie przerwę i jadł kawałek prasowanego koncentratu spożywczego, popijając go naparem ziołowym.

— Co się stało? — spytał na widok zdyszanej Alleгры. — Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

Dziewczyna bez słowa wręczyła mu płyty fotograficzne. Tom uniósł je pod światło, studiował chwilę utrwalony obraz, aż wreszcie opuścił rękę.

— Co to ma być?

— Robot. Przyjechał ze złomem.

— Pokaż mi go. Rajiv, Matt, pilnujcie mi tu wszystkiego, póki nie wrócę!

Tom pobiegł za Allegrą do działu selekcji i dosłownie oślepiał na widok jej znaleziska.

— Matko wszechrzeczy...

— Sam widzisz. Skąd ten robot mógł się tu wziąć?



— To nie robot, tylko android. Różnica dość znacząca. Później ci wyjaśnię. Pomóż mi. Przede wszystkim musimy go stąd zabrać, nim ktoś jeszcze go zobaczy i w swej gorliwości rozbierze na części.

Wspólnie przenieśli nieruchomy ludzki kształt krętymi korytarzami do kwatery Allegry i położyli na jej łóżku. Tom odpoczął chwilę, otarł pot z czoła i wyjął z szerokiej kieszeni kombinezonu płyty fotograficzne. Przyglądał się im w skupieniu bardzo długo, badał pod światło i wreszcie odłożył na stolik.

— To osobliwe — rzekł. — Wygląda na to, że nic mu nie dolega.

— Jak to?

— No tak. Wszystko jest prawidłowo połączone, żadnych uszkodzeń. Powinien działać jak złoto. Ciekawe czemu czaszkę zrobiono z nieprzenikliwego materiału. Pewnie ktoś nie chciał, by każdy byle kto mógł obejrzeć konstrukcję mózgu, ale wydaje mi się, że jeśli mamy szukać jakichś uszkodzeń, to tam.

— Ma uszkodzoną głowę?

— Na oko nic nie widać, ale to nowatorska konstrukcja i praktycznie nic o niej nie wiemy. Już samo to, że mózg umieszczono w czaszce, jest ciekawostką. Znane mi roboty mają mózg w klatce piersiowej, tam jest więcej miejsca.

Tom wyjął z przegródki pasa cienką latakę i świecąc nią zaczął skrupulatnie oglądać leżącego androida.

— Naprawdę dziwna sprawa — mruknął w końcu. — Wszystko do siebie pasuje, nie brakuje najmniejszej śrubki. To znaczy, o ile on je ma. Chyba że...

Nie dokończył myśli. Odłożył latakę i zaczął rozgarniać gęste włosy na głowie sztucznego człowieka, jakby czegoś szukając. Następnie ujął jego prawą dłoń, rozprostowując na siłę zgięte palce. Na przykrywający łóżko Allegry koc wypadł podłużny, czarny przedmiot, wyglądający jak prostokątny, żłobiony w zawiłe wzory klocek.

— Mamy odpowiedź — powiedział mechanik spokojnie.

Ponownie odgarnął włosy „pacjenta” i wsunął znaleziony przedmiot w widniejący tam otwór tak, jak dopasowuje się brakującą część do trójwymiarowej układanki.

Niemal natychmiast w zielonych oczach zapłonęło światło. Potem android powoli przekręcił głowę w bok, spojrział na Toma i Allegrę, która aż krzyknęła. Sztuczne oczy były jak żywe, biła z nich spokojna, świadoma inteligencja. Sztuczny człowiek usiadł.

— Melduję wykonanie zadania — powiedział cicho. Jego głos brzmiał nieco mechanicznie, ale przy odrobinie dobrej woli można było uznać go za ludzki.

— Jakiego zadania? — Spytał Tom.

— Mój twórca rozkazał odnaleźć zsymp na zużyte mechanizmy, wejść do niego, a następnie wyjąć i zacisnąć w dłoni moduł integrujący. Zadanie wykonane.

Mechanik przysiadł na taborecie przy łóżku.

— Kto jest twoim twórcą? — Zapytał łagodnie.

— Inżynier Kamil Zaremba.

— Wiesz, dlaczego kazał ci wykonać zadanie?

Android przez chwilę milczał.

— Nie wiem — odparł wreszcie. — Mogę jednak wyciągnąć wnioski ze zdarzeń.



— Zatem wyciągnij.

— Inżynier bał się odpowiedzialności. Tego dnia, gdy dał mi zadanie, ktoś do niego dzwonił. Powiedział: wydało się, zaraz tu będą. Mój twórca nie chciał, by ktoś dostał mnie w swoje ręce.

— Dlaczego nie chciał?

— Mówił, że jestem kapsułą czasu. Skarbem.

Tom spojżał na Allegrę ogłupiałym wzrokiem.

— To bez sensu.

— Pozwól mi — dziewczyna podeszła i wiedziona impulsem wzięła androida za rękę. — Jesteś teraz wśród przyjaciół i nic ci nie grozi. Jak masz na imię?

— Lem — odpowiedział natychmiast, lekko pochylając głowę.

— Powiedz, dlaczego inżynier Zaremba nazwał cię skarbcem?

Android położył wolną rękę na piersi.

— Z powodu tego, co mam tutaj.

— A co masz?

— Nie wiem, jak to się nazywa. Musiałbym pokazać.

— Zatem pokaż.

Allegra puściła go i przysiadła na nocnej szafce. Na razie nie miała zbyt wielu własnych sprzętów, a jedyny jej taboret zajmował stary mechanik.

Lem przycisnął obie dłonie do klatki piersiowej, uniósł głowę i nagle zaczął deklamować w dziwnym rytmie. To był wiersz, a jednocześnie muzyka – coś, czego była studentka architektury nie słyszała nigdy w życiu. Melodia zmieniała się razem z tematem wiersza, raz Lem przemawiał głosem mężczyzny, raz kobiety. Dziewczyna słuchała z otwartymi ustami, nie spuszczać oczu z androida, całkowicie zdezorientowana, póki Tom nie otrząsnął się z wrażenia i stanowczym głosem nie nakazał Lemowi, by umilkł. W zapadłej ciszy usłyszeli za sobą głębokie westchnienie i obejrzawszy się zobaczyli Emila. Musiał stać tam od dawna, nie zwracając na siebie uwagi. Z jego niewidocznych pod ciemnymi okularami oczu płynęły ciężkie łzy.

— To śpiew — szepnął akordeonista. — On umie śpiewać. I założyłbym się, że ma zakodowane wszystkie pieśni Starej Ery. Dlatego jest Skarbem.

* * *

Jednym z mankamentów życia w podziemiu było to, że Zesłańcy nie mieli żadnej łączności z powierzchnią. Jednak Barry Mal, niezwykle zdolny technik z sekcji napraw, już dawno skonstruował odbiornik do wyłapywania audycji radiowych i razem z kolegą, Karolem Michałowiczem, wziął na siebie rolę herolda podziemnej społeczności. On też wyłapał wśród niemiłosiernych trzasków i zgrzytów wiadomość, że znany inżynier, Kamil Zaremba, popełnił samobójstwo, gdy jego dom otoczyła milicja republikańska. Allegra przyjęła to jak informację o śmierci kogoś bardzo bliskiego. Nie znała twórcy androida, ale bardzo chciała go poznać, a teraz było się to niemożliwe. Pewną pociechę stanowiła myśl, że inżynier zdołał ocalić dzieło swego życia, sztucznego człowieka, będącego depozytorem sztuki skazanej na zapomnienie. Na co liczył? Chyba miał jakieś wiadomości o Zesłańcach, na tyle ściśle, by dopuścić możliwość, że tam na dole zrozumieją, jak należy naprawić jego



„dziecko”. To było bezsprzecznie jedyne miejsce, w którym android mógł znaleźć bezpieczny azyl. I znalazł. Tak bardzo przypominał zwykłego człowieka, że początkowo nikt z osiedla L nawet nie wiedział, iż ma do czynienia ze sztuczną inteligencją.

Później ludzie przywykli do jego obecności, zaś Allegra, z którą ostatecznie zamieszkała, była z niej bardzo zadowolona. Przywiązała się do niego szybciej niż mogła się spodziewać, tak jakby wypełnił puste miejsce w jej życiu. Robiła sobie nawet z tego powodu gorzkie wyrzuty, gdyż usłyszawszy o tragicznym losie inżyniera Zaremby przez moment odczuła ulgę: nikt jej już nie odbierze tego pięknego jak mityczny anioł, cichego towarzysza.

— Mam nadzieję, że milicja nigdy nie dowie się o jego istnieniu — powiedział Tom, gdy rozmawiali tego smutnego wieczora. — Zniszczono by go, a to wspaniałe osiągnięcie myśli technicznej. Jeszcze nigdy nie widziałem równie subtelnego urządzenia.

Allegra nie potrafiła zmusić się do tego, by myśleć o Lemie jak o „urządzeniu”. Wydawał się zbyt ludzki i nie dotyczyło to tylko wyglądu, choć był on właściwie perfekcyjny. Było coś jeszcze. Miała wrażenie, że ten sztuczny stwór ją lubi, chodził bowiem za nią krok w krok i starał się być pomocny we wszystkim. Dzięki niemu czuła się w jakiś sposób ważna, a nawet... kochana, choć było to co najmniej nielogiczne.

— Lem, może ja ci to przekazać: inżynier Zaremba nie żyje. — Powiedziała, wróciwszy do domu. Android spojżał na nią. Jego twarz pozostała nieruchoma, gdy pytał:

- Nie można go naprawić?
- Niestety nie można. Ludzie to... bardzo skomplikowane mechanizmy, łatwo je uszkodzić w sposób nieodwracalny.
- Mój twórca też tak mówił. Czyj ja teraz będę?
- A musisz być czyjś?
- Chyba tak. Co bym robił?

Allegra pogłaskała go po lśniących blaskiem starego złota włosach.

- Możesz być mój — rzekła miękko. — Czuję się czasami bardzo samotna.
- Powiedzieć, że cię kocham?
- Co takiego?! — Zaskoczona dziewczyna spojżała na niego szeroko rozwartymi oczami.
- To słowa, których ludzie lubią słuchać. Mogę ci je powiedzieć.
- Po co?

— Mogę dać ci miłość, jeśli nauczysz mnie jak. Mój twórca zawsze mówił, że to najważniejsze i najlepsze, co można komuś dać. Że tak naprawdę nic innego na świecie się nie liczy. Chcesz tego? Powiedz, co to jest, a ja ci to dam.

Przebijająca z tych słów kompletna, niewinna nieświadomość wzbudziła w młodej Zesłance jednocześnie chęć do śmiechu i do płaczu. Miłość androida? Czy tylko to mogło ją teraz czekać? Otaczali ją prawie sami mężczyźni, ale operacyjnie pozbawieni popędu płciowego i w ogóle zainteresowania kobietami w romantycznym sensie. Mieli inne pasje: grali w karty, w piłkę, w szachy, organizowali w wolnym czasie całe zawody w różnych dziedzinach. Nieliczne tutaj kobiety były, wbrew wszelkiej logice, w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

— Co ty wiesz o miłości, Lem? — Spytała, siadając obok swego sztucznego lokatora. Zielone oczy wpatrywały się w nią z bezgranicznym spokojem.



— Kochasz muzykę. Grasz na altówce. Emil kocha muzykę. Gra na akordeonie. Miłość jest jak muzyka.

— Może masz rację — szepnęła po dłuższej chwili. Spojrzała na Lema i zmusiła się do uśmiechu.

— Pocałuj mnie. Umiesz?

— Widziałem z ukrycia, jak to się robi.

Dotknął jej ust swymi aksamitnymi, zbyt twardymi wargami. Smakowały plastikiem i chłodną gumą, jednak coś w tym pocałunku było. Allegra czuła to w owej dziwnej skwapliwości, z jaką Lem objął ją i przytulił do siebie – nadspodziewanie delikatnie jak na mechaniczną parodię człowieka. Tak jakby w sieci przewodów oplatających pod skórą części konstrukcyjne androida znalazł się jakiś kącik, w którym utaiło się coś bardzo podobnego do duszy, tęskniącej za czyjąś bliskością. Inżynier Zaremba stworzył nie tylko kapsułę czasu, za pomocą której chciał ocalić coś, co uważał za wyjątkowo ważne. Niechcący dał swemu tworowi uczucia i pragnienia, których wcale ofiarowywać mu nie chciał. Chcąc stworzyć sztucznego człowieka stworzył po prostu człowieka, choć zamiast krwi miał on w żyłach płyny hydrauliczne, a zamiast serca akumulator. Stworzył niemożliwość, akceptowaną dotąd jedynie przez fizykochemików: życie z materii martwej.

— Kocham cię — powiedział, gdy ich usta rozłączyły się wreszcie. Allegra dotknęła dłonią jego gładkiego policzka. Nie uśmiechnęła się, choć intonacja tych najpiękniejszych na świecie słów była mechaniczna i mimo wszystko dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że przynajmniej na razie Lem nie może wiedzieć, jakie jest ich znaczenie.

— Ja też cię kocham — powiedziała i uśmiechnęła się. — Chcesz, to pomuzykujemy razem.

— Co tylko każesz.

Po chwili cały sektor D wypełniły dźwięki muzyki, które zaraz zwabiły słuchaczy ze wszystkich stron. Lem śpiewał miękko, słodko-gorzko jak zapach tulipanów głosem. Wtórowały mu tony altówki. Zesłańcy, spragnieni zakazanej namiętności, rozsiedli się wokół, wlepiając oczy w siedzącą przed otwartą grotą parę. To było niczym nabożeństwo, otwierające przed zgromadzonymi inne, lepsze perspektywy i wlewające w ich serca jakąś nie do końca uświadomioną nadzieję.

Któregoś dnia ta nadzieja doprowadzi do zmiany powstającego na powierzchni nowego świata. Ale na razie istniała tylko muzyka.





Baltikon 2015

Konwent Manga i Fantastyki

<http://www.baltikon.pl>

<http://www.facebook.com/baltikon>

24-26 lipca 2015

Zespół Szkół nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie
ul. Książąt Pomorskich 16/18

Sopot

SEBG Stowarzyszenie Edukacji bez Granic



Maginarium.pl



partnerzy

